Nr. 44.

PRACA

Rok III.

Dodatek handlowo-przemysłowy i rolniczy.

Urzędowy organ informacyjny dla Towarzystw i Spółek.

Telefon Nr. 295. Właściciel i Wydawca: Marcin Biedermann. Adr. tel.: „Praca“ Posen.

Wszelkie korespondencye należy adresować: „Do Redakcyi „Pracy“ w Poznaniu, Rycerska ulica Nr. 38.

Wystawa w Paryżu.

Stary Paryż.

Obok Paryża á la fin de siécle, tego wielkiego, modnego miasta trzeciej Rzeczypospolitej, będzie „Stary Paryż“, wybudowany na wystawie, wyglądać jak mały, plastyczny model. Ale porównanie to jest wtenczas tylko możliwem, jeżeli się spojrzy na stosunek obszaru obydwóch „miast“. Starożytne budowle przeszłych stuleci będą wzniesione wzdłuż prawego brzegu Sekwany, pomiędzy mostem Alma a prowizorycznem przejściem, nazwanem teraz już „przejściem „Starego Paryża“. Długość areału, na którym budynki te stać będą, wynosi 350 metrów.

„Stary Paryż“ ma zwiedzającym dać jak najwierniejszy historyczny obraz owych minionych dni, równocześnie zaś będzie tam tyle rozrywek i zabaw wszelkiego rodzaju, że nikt nie uczuje braku zabaw naszego stulecia.

Najpierw więc mają zamiar wystawić tam trzy ogromne hale, teatralną, koncertową i balową, a każdą urządzą na 1500 osób, oprócz tego co wieczór odbędzie się wzdłuż brzegów rzeki wspaniała iluminacya, której widok z tarasów kawiarni ma być wprost zachwycającym.

Hotel olbrzymi „Auberge des Nations“ stanie tam także, a gospodarzem będzie „La compagnie internationale des Grands Hôtels“.

Znany artysta Robida otrzymał polecenie urządzenia tego „Starego Paryża“, i nie ulega wątpliwości, że genjalny ten mąż spełni świetnie swoje zadanie.

Olbrzymi parasol.

Stany Zjednoczone wystąpią z potwornym prawdziwie przedmiotem na wystawie paryzkiej. Olbrzymie huśtawki i koła nie są już nowością, ale obracająca się olbrzymia zabawka musi się obecnie na każdej znajdować wystawie. Więc też inżynierzy amerykańscy wymyślili coś zupełnie nowego. Będzie to olbrzymi parasol, mający 350 metrów wysokości, a zbudowany z żelaza i stali, w fabryce Shermana w Chicago. Na końcu każdej szyny wisi wóz, zawierający 50 miejsc, wozy te będą spuszczane na ziemię i podnoszone za pomocą windy. Parasol obraca się z niezmierną szybkością około swej osi, tak, że w kilku sekundach można będzie obejrzeć całą okolicę Paryża. (!) Ale czy się to przedsiębiorstwo opłaci, nie wiadomo, bo koszta transportu i ustawienie parasola są bajeczne. Oby go nie spotkał los owego olbrzymiego koła z wystawy w Chicago. Właściciele jego nie mieli po zamknięciu wystawy nawet tyle pieniędzy, aby je zabrać, i tak zostało ono na publicznej licytacyi sprzedanem jako stare żelaztwo.

Teleskop.

Wielki teleskop na wystawie paryzkiej otrzyma objektyw mający $1^{1}/_{4}$ metr. średnicy, ważyć zaś będzie około 20,000 kilogr. Ma to być arcydzieło sztuki optycznej, jakiego dotąd świat jeszcze nie widział.

Olbrzymia beczka.

Znana beczka w Heidelbergu od dawna już przestała być największą na świecie, na rozmaitych wystawach zwracały większe na siebie uwagę publiczności. Na wystawie paryzkiej ukaże się naturalnie też taki olbrzym, który będzie zawierał drobnostkę: 4200 hl., a zatem przewyższy o wiele beczkę heidelberską, zawierającą tylko 2000 hl. Żaden beddnarz nie dałby sobie pewnie rady z tym paryzkim potworem, zbudowanym w Nancy. Gdy beczka była gotową, wyprawiono w wnętrzu jej uroczystą kolacyą na 142 osób, a wszyscy mieli aż nadto w niej miejsca. To była uczta robotników, nazajutrz odbył się obiad dla radnych miasta i t. d. na 100 osób. Beczka waży 150,000 kilgr., koszta budowy i zestawienia wynoszą 120,000 mrk. Wysokość jej aż do galeryi wynosi 14 metrów.

Galerya machin.

Komisya miejsc trudne ma zadanie, trudniejsze niż kiedykolwiek. Przeszło 22,000 zgłoszeń o miejsce nadesłano z zagranicy, a właściwie wszystkich miejsc razem jest tylko 18,000. Galerya maszyn obok wieży Eiffel, miała być początkowo na inne przeniesioną miejsce, ale kolosalna hala stawiła tak żelazny opór wszelkim usiłowaniom transportu, że trzeba ją było zostawić tam, gdzie stała. Dach jej pozostanie niezmienionym, wewnętrzne za to urządzenie będzie zupełnie przeinaczonem. Część środkowa zostanie przebudowaną na salę bankietową, obok sali będzie wystawa środków żywności, dalej rolnictwo z połączonemi z niem industryami, n. p. młynem, browarem, cukrownią, fabryką szampana, gorzelnią, mleczarnią i t. p.

Sztuczny wulkan.

Jedną z największych „atrakcyi“ paryzkiej wystawy będzie sztuczny wulkan, mający 140 metr. wysokości i średnicy 210 metrów. Mając 630 metrów objętości, pokrywać będzie powierzchnią 7000 metr. kwadr. Główną naturalnie rzeczą jest wybuch wulkanu, i tak więc musi ów sztuczny Wezuwiusz przez cały dzień dymić, a co wieczór trzy razy wyrzucać ogień, popiół i lawę, która w malowniczo urządzonych kawałach spłynie z góry na dół. Wygodne drogi serpentynowe wiodą aż na szczyt wulkanu, oprócz tego będą windy nieustannie funkcyonować. Cała góra będzie naturalnie pełna kawiarń, winiarń, teatrów i restauracyi fin de siécle. Wnętrze wulkanu składa się z kolosalnej sieci żelaznych i stalowych belek, słupów i t. d., ważących razem 7,500,000 kilgr. Na ten budynek metalowy nasypią gruby pokład ziemi, ozdobionej naturalnemi skałami, trawnikami i klombami kwiatów.

Wielka sala bankietowa.

Kolosalna hala machin z wystawy w r. 1889 mieści, jak już wyżej wspominaliśmy, w sobie wielką salę bankietową. Sala ta będzie tak podzieloną, że w środku powstanie okrągła przestrzeń o 90 m. średnicy i 6400 metr. kwadr. powierzchni. Na około znajdują się głębokie miejsca dla widzów. Przez wzgląd na kolosalne rozmiary hali był podział ten koniecznym. Sklepienie środkowe spoczywa na 8 żelaznych filarach, ważących razem 10,000 kg. Nad filarami połączonemi zręcznie u góry znajdują się 4 balkony, na dole zaś umieszczono 4 trybuny, każda na 1500 osób. Trybuny te wznoszą się w kształcie amfiteatru, tak, że z każdego miejsca można wszystko wygodnie widzieć.

Jeden z górnych balkonów przeznaczonym jest dla prezydenta Rzeczypospolitej, dwa dla muzyki, dla kogo zaś czwarty zostanie, tego dziś jeszcze nie wiadomo.

Plastyczne ozdoby sali mają kolor zupełnie jasny. Kolory jasno żółty i błękitny otoczony jest złotym, podczas kiedy tła trybun mają konwencyonalny ko-

lor czerwony. Ponad balkonami znajdują się alegoryczne medaliony, przedstawiające sztukę, industryą, technikę i t. p.

Po za trybunami są wejścia na wystawę rolniczą i ogrodniczą, a na czterech ścianach tylnych owych trybun mają być, podług zdania architekta Raulina, wymalowane kolosalne obrazy, przedstawiające cztery pory roku i fauna i flora wszystkich części świata.

Sala ta będzie służyć do wielkich uroczystości wystawy, n. p. na otworzenie wystawy, rozdawanie nagród i t. p. Koncerta odbywać się tam pewnie nie będą, bo akustyka nie jest taką, jak być powinna, natomiast przez krótki czas wystawią w sali tej zerwane kwiaty. Głównym jej celem jest służyć do reprezentacyi i dla tego urządzono ją aż do najdrobniejszych szczegółów z niesłychanym przepychem.

Ogólne przygotowania do wystawy.

Place budowlane są obecnie po większej jeszcze części prawdziwym chaosem rowów, dołów, fundamentów, rusztowań, wozów, robotników i przypatrujących się leniwców całego świata. La porte Triomphale, to jest główne wejście na wystawę, będzie się znajdować od strony Placu Zgody. Tam gdzie się krzyżują Cours la Reine, Quai de la Confiume i Place de la Concorde, budują obecnie to wejście o 40 metr. wysokości. Składa się ono z 3 łuków, na których złocona spoczywa kopuła, z obydwóch stron stoją minarety, które jako olbrzymie phanale oświecają wejście.

Fantastyczna forma portyku, nie mająca żadnej pretensyi do stylu architektonicznego i piękności, przeładowana złotem, daje najlepszy przykład dążenia do efektu. Ale o guście Francuzów świadczy bardzo źle. Tem piękniej przedstawia się imponujący „Grand Palais“, zbudowany całkiem w stylu klasycznym.

Pod owym portykiem może stać 2000 osób, dalej zaś umieszczone będą w półkole pawilon do wydawania biletów. Pomimo jak najoszczędniejszego podziału miejsca nie zdołano umieścić więcej, jak 29 takich pawilonów, z których w godzinie wydawać będą 30 tys. biletów. Ilość pawilonów okaże się naturalnie za małą. Le Petit Palais jest dawniejszym pałacem industryi w Avenue des Champs Elyseés, zniesiony obecnie, przedstawia on smutne szczątki dawniejszej wielkości i sławy. Le Grand Palais ma być z nim połączony, ale podczas kiedy Grand Palais ma wyłącznie służyć dla nieustającej wystawy sztuk pięknych, pozostaną sale małego pałacu wyłącznie na użytek historyi sztuki rozmaitych epok.

Fasady Grande Palais wznoszą się już w Avenue d'Autin i w Avenue des Champs Elyseés, główny front znajduje się od strony Avenue Nicolas II. Połączony z Petit Palais będzie tworzył całość wspaniałą i najpiękniejszą część wystawy. Z powodu ogólnego strejku robotników przeszłego roku, nie postąpiły roboty tak, jak się tego spodziewano, ale jeżeli nowy strejk nie nastąpi, to wszystko zostanie na czas wykończonem. Najwięcej imponującą częścią owej monumentalnej budowy są kolonady, zdobiące główne fronty. Są one olbrzymiej wielkości, również jak i schody w wnętrzu pałacu.

Kolosalna ta całość, nazwana „le Grand Palais“, tworząca punkt środkowy wystawy, jest podzieloną na 3 części, t. j. „le palais Delgane“, w którym sala, 200 m. długa, przeznaczoną jest dla rzeźb, „le palais Couvet„ i „le palais Thomas“.

Wszystko to jest tak olbrzymie, wspaniałe i piękne, że najwięksi zwolennicy starego pałacu industryi zapomną wkrótce o nim, i podziwiać będą nowe, przepyszne dzieło.

Paryżanin.



Rozwój rzemiosł — a fabryki.

Terminowanie w fabrykach jest u nas rzeczą zwyczajną, a w niektórych działach, liczba terminatorów równa się prawie liczbie pracujących tam czeladników — niekiedy nawet przewyższa ją. Więc kontyngens rzemieślniczy zwiększa się stale; rzemiosła jednak u nas nie rozwijają się pomyślnie. Przyczyną tego w niektórych fabrykach jest brak dozoru nad terminatorami, w innych system fabryczny.

W pierwszych, terminator uczy się rzemiosła w ciągu całego czasu praktyki — sam; chyba że z łaski udzieli mu objaśnień czeladnik, który jednak robiąc na sztukę czasu swego oszczędza; w drugich, terminator przeszedłszy okres początkowy (posyłkowy) i wyuczywszy się nieco rzemiosła, dostaje robotę na sztukę — a doszedłszy do tego stopnia, spieszy się, byleby więcej zarobić; lub też oddawany bywa pod rękę czeladnika, który robiąc przedewszystkiem na sztukę, dba przedewszystkiem o prędkie wykończenie roboty. Robotą obdzielani bywają terminatorzy fabryczni w miarę swych zdolności. Gdy u drobnego majstra, terminator z natury rzeczy robi wszystko co się zdarza i prędkie wyuczenie go rzemiosła leży w interesie samego majstra, który poniekąd, o ile jest uczciwym i rozsądnym człowiekiem, wpływa dodatnio na moralność swego terminatora, — to w fabryce dzieje się wręcz przeciwnie. Fabryka nie stara się o wyrobienie w terminatorze pewności siebie odnośnie do rzemiosła i terminator mniej sprytny do samych wyzwolin dostaje roboty łatwiejsze, a przez to nie uczy on się, lecz tylko pracuje na równi z dorosłymi robotnikami; a pod względem moralnego wpływu na terminatorów, to fabryka nie zadaje sobie trudu prawie wcale. Terminator przebywszy w fabryce czas umówiony, zostaje wyzwolony, niekiedy bez obrobienia sztuki czeladniczej, co nie wpływa korzystnie na rzemiosło.

Widzimy więc z tego, że fabryce jakby chodziło tylko o wyciągnięcie jak największych korzyści w czasie nauki z terminatora, co mogłoby być bardzo naturalnem, gdyby nie było ze szkodą dla terminatora, a tem samem i rzemiosła danego. Rzemieślnik więc bez ogólniejszego wykształcenia, w ten sposób przyuczony do swojego rzemiosła, pracuje w niem dla tego tylko, ażeby zarobić na utrzymanie; pracuje jednak bez żadnego do swojego fachu zamiłowania. Śmiało powiedzieć można to samo o większej połowie ogółu rzemieślników, z których gdy się komu zdarzy, jakiekolwiek inne, choćby niewiele korzystniejsze od fachowego zajęcie, z chęcią on porzuca swoje rzemiosło.

Wiadomo powszechnie jak doniosłe znaczenie ma nauka rysunków w zastosowaniu do rzemiosł; a jednak fabryki w tym względzie jakby nic uczynić nie chciały dla postępu. I w przemyśle metalowo-galanteryjnym zachowują się w tej kwestyi bardzo obojętnie, jakby całym szeregom złotników, tokarzy, drykierów i brązowników rysunki były wcale niepotrzebne. To też w przemyśle tym robi się wszystko po dawnemu a zmiany jakie zaszły dzięki ulepszeniom teehniki zagranicznej, wpłynęły tylko na ilość produkcyi i w części na zniżenie ceny wyrobów; po za tem nic się nie zmieniło — chyba niezadowolenie robotników wzrosło.

Na jakim stopniu znajduje się u nas drobny przemysł żelazny — wiemy; kroczy on po drodze postępu, lecz bardzo powoli, bo i tu całym szeregom tokarzy żelaznych, ślusarzy, tak ważnym czynnikom przemysłu żelaznego i innym, rysunek jest rzeczą mało znaną. Przytoczę maleńki przykładzik charakteryzujący drobniejszy przemysł żelazny. Wiemy, że w przemyśle żelaznym zagranicą doszli ludzie do wielkiej doskonałości; podziwiamy ich sprytne narzędzia rzemieślnicze, zaoszczędzające dużo czasu, których z zadowoleniem używamy, jeżeli dojdą do rąk naszych. Znane są u nas sprytne amerykańskie futra, używane do tokarń. A jednak pod tym względem nie naśladujemy zagranicy. Pewna oto fabryka maszyn pomocniczych wykończyła nową tokarnię; na zapytanie uczynione przedstawicielowi firmy, dla czego futra do tej tokarni są zrobione po dawnemu, nie zaś na sposób amerykański — tenże odpowiedział, że u nas jeszcze i za dziesięć lat nie będzie się robić futer amerykańskich. Dziwnie to brzmi; być bowiem może, iż w dziedzinie wynalazków nie prędko dorównamy zagranicy, jednak mając już na coś modele, zrobić byśmy to byli w stanie i zastosować u siebie, gdyby tylko fabryki dbały o rozwój rzemiosł. Wciąż rosnący przemysł w naszym kraju powoduje ciągłe zapotrzebowania narzędzi rzemieślniczych, które jednak sprowadza się z zagranicy. A dla czego nie

wyrabia się ich u nas na miejscu? Na brak rąk do pracy narzekać nie możemy, brak jednak właściwego kierunku do rozwoju rzemiosł. Im rzadziej będziemy słyszeć frazes wypowiadany dziś jeszcze bardzo często „tak było dawniej i było dobrze — więc i teraz niech tak będzie“ tem rzadziej rękodzielnicy będą porzucali swoje rzemiosło, a przynajmniej nie tak często będą myśleli o tem; oddani swemu zawodowi, pracować będą z większem zadowoleniem i ochotą, a tem samem prędzej przemysł zagraniczny przestanie zalewać nasze rynki handlowe.

G. Rz.

Z praktyki kupieckiej.

Ostrożność przy zasięganiu informacyi. Pewien fabrykant udziela nam następującej wiadomości:

Kupiec M. R. w N. zamówił u mnie dosyć dużo towaru, nie pytając wcale o cenę. Nie znałem go, list jego niekorzystne wywarł na mnie wrażenie, więc zanim mu żądany towar posłałem, zasięgnąłem najpierw informacyi o nim, i to z dwóch źródeł. Z jednego biura otrzymałem co następuje: „M. R. w N. prowadzi od 8 lat skład galanteryjny i żyje w dobrych stosunkach. Jest to uczciwy kupiec, cieszy się dobrą opinją i zaufaniem publiczności, posiada własny dom i majątek, wynoszący 20—30,000 mrk. Płaci punktualnie, tak, że można mu dać kredyt na 1000—1500 mrk“.

Z drugiego biura inną otrzymałem odpowiedź:

„M. R. w N. jest tylko podsuniętą figurą kupca G., który oszukał kilku fabrykantów i wierzycieli, pod rozmaitemi nazwiskami. W M. R. znalazł usłużnego sobie człowieka, który tem niebezpieczniejszym jest, że umie zachować pozory uczciwego i przyzwoitego kupca. Ale tak nie jest. M. R. nie posiada żadnego majątku, skład jego nie ma powodzenia, dla tego odradzamy stanowczo wdawać się z nim w stosunki pieniężne“.

Zdawało mi się, że lepiej posłuchać ostatniej rady. Napisałem wszakże do M. R., że dam mu żądane towary, ale tylko za zaliczką pocztową. Na to jednak pan M. R. nie chciał się zgodzić, co mnie naturalnie umocniło w postanowieniu nie zawierania z nim żadnych stosunków. I jak się teraz okazało, miało drugie biuro zupełną słuszność.

Walka przeciwko towarowym markom rabatowym. Smutne doświadczenia, jakie publiczność i kupcy robią w równej mierze z Towarzystwami „rabatowemi“ obiecującemi niezmierne korzyści, zdają się nie być jeszcze dostatecznie znanemi. Bo zawsze jeszcze Towarzystwa takie umieją nawet w większych miastach, złudzić kupców pięknemi przyrzeczeniami i przyciągnąć ich do wstąpienia w stowarzyszenie, mające na celu jedynie własną korzyść. Ale podobne urządzenia nie mogą na dłuższy przeciąg czasu utrzymać odbiorców. Z początku zajmie to może niejednego, wszelka nowość wzbudza interes, który jednak bardzo prędko ustaje, a kupiec nie wie potem, co z swemi markami rabatowemi począć. Marki te musi on naturalnie kupować od Towarzystwa, bo zkądżeby ono posiadało kapitał obrotowy oraz towar, sprzedawany kupcom?

W Norynbergii i w Fürth zostało obecnie założenem Towarzystwo, pod imieniem „Parsimonia“ (Oszczędność). Brzmi to bardzo ładnie. Lista kupców należących do tego wynosi w Norynbergii 792, w Fürth 91; są tam najrozmaitsze firmy, głównie zaś właściciele składów kolonialnych i łokciowych. Oprócz tych jest tam 90 piekarzy, 98 kupców cygar i tytoniu, 25 szewców, 17 rzeźników i 39 fryzyerów! Najgorzej jednak, że Towarzystwo „Parsimonia“ nakłaniając do oszczędności, daje towary na odpłatę! Sprzeczność ta wykazuje aż nadto wyraźnie, że chodzi tam jedynie o własną korzyść, nie zaś o korzyść kupującej publiczności.

Mercator.

Poradnik prawny.

Sprawa sądowa w Dysseldorfie o nieuczciwe współzawodnictwo.

Przed sądem ławniczym toczył się w tych dniach proces przeciwko kupcowi Matthaei w firmie M. Schneider o nieuczciwe współzawodnictwo, wytoczony przez kilku innych kupców. — M. był oskarżonym o to, że latem r. b. wystawił znaczną część materyi z napisem: „Najpierwszy fabrykat merański“, i że oznaczył za towar ten wyższą cenę, niż się należało. — Jako rzeczoznawców wezwano kupca Grünfelda, właściciela firmy S. Guttmann w Dysseldorfie, p. Meyersa, prokurystę firmy Fr. Seydet z Elberfeldu i p. R. Franka, właściciela firmy Frank i Joski w Berlinie. Zajmującą kontrowersyą wydały rozmaite określenia słów: „najpierwszy fabrykat“. Podczas kiedy p. Grünfeld rozumiał pod tem „najlepszy“, oświadczyli inni panowie, że znaczy to fabrykat z pierwszorzędnej fabryki, ponieważ pod wyznaczoną ceną 58 fen. za metr półwełnianej materyi na suknie, każdy wie, że materya ta nie może być „najlepszym“ towarem. Co do oznaczonej ceny okazało się, że przeciętiowa cena wystawionego towaru powinna być raczej wyższą, niż niższą, i że o nieuczciwem współzawodnictwie mowy być nie może. Po krótkiej naradzie oznajmił przewodniczący, że oskarżony jest uznany za niewinnego, twierdząc, że kupiec nie może przy reklamie odważać starannie każdego słowa.

O robotnikach, pracujących dla firmy w domu.

Sąd (procederowy) przemysłowy w Norymbergii wydał niedawno ważny wyrok, tyczący się robotników, pracujących w domu dłuższy czas dla pewnej firmy. Otóż krawiec O. pracował prawie wyłącznie dla firmy B. Pewnego dnia zganił jeden z szefów, człowiek niefachowy, pracę krawca O., pomimo, że przykrawacz uznał ją za dobrą. O. wzbraniał się zmienić ową robotę i odtąd nie otrzymywał już wcale roboty. Zaskarżył więc firmę o odszkodowanie za nieprawne wydalenie go. Szef i przykrawacz twierdzili, że O. nie stał wcale w stosunku robotnika w właściwem znaczeniu tego słowa do firmy, tylko że dostawał robotę, jeżeli jaka była, i że tem samem nie ma prawa do przestrzegania terminu wypowiedzenia miejsca. Wobec sądu stwierdzono, że O. prawie wyłącznie pracował dla owej firmy, że szef przyrzekł mu na długi czas dawać robotę, że więc stał w stosunku robotnika do firmy, pomimo, że pracował u siebie w domu. Wyrok brzmiał jak następuje: „Jeżeli skarżący może przysiądz, że w przeciągu 14 dni po wydaleniu go, nie było mu możliwem znaleść innego zajęcia, to firma B. musi mu zapłacić żądane odszkodowanie.“

Więc sąd orzekł, że jeżeli robotnik pracuje dłuższy czas wyłącznie prawie dla jakiejś firmy u siebie, w domu, to stoi w stosunku robotnika do tejże firmy. Z tego wynika, że przedsiębiorca musi dla robotników domowych ponosić koszta zabezpieczenia tak samo jak dla robotników warsztatowych. Robotnika domowego powinien zameldować do kasy chorych i wypowiedzieć mu w danym razie miejsce 14 dni poprzednio.

Prawnik.

Handel i przemysł.

O wyplataniu słomianek. Słomianki lub maty, są tak w ogrodzie jak i w pasiece i w gospodarstwie domowem niezbędnym przedmiotem. Ogrodowy, uprawiający warzywo, nie może się bez nich obejść, a w inspektach, przy szpalerach winnych, brzoskwiniowych i t. d. są one także bezwarunkowo potrzebne. W niektórych okolicach możnaby wyplatanie słomianek polecić jako *przemysł domowy.* Nie jest to zbyt trudnem i dla zachęcenia podajemy tu w krótkości sposób wyplatania ich.

Najpierw więc potrzeba ramy tak długiej i szerokiej, jak długą i szeroką ma być słomianka. Rama ta musi być mocną, na rogach dobrze zbitą gwoździami, aby się nie posuwała i nie krzywiła. U góry i na dole na wązkich stronach wbić w różnych odstępach cztery lub pięć gwoździ, wystających do połowy. Teraz przywiązać do gwoździa na lewej stronie u góry mocną nić, ściągnąć ją na dół do przeciwległego gwoździa, owinąć w około niego, potem przeciągnąć do gwoździa obok, a następnie znów do góry i tak aż do ostatniego gwoździa u góry na prawej stronie, gdzie nić mocno zawiązać. Nić powinna być dosyć mocno naciągniętą, aby rzędy były proste. Oprócz tego potrzeba szpulek, 10—15 cm. długich, z zwyczajnego drzewa. Na szpulki te nawinąć nić, potrzebną do wiązania, a trochę cieńszą niż nić, użyta do nawijania na gwoździe. Szpulki te przywiązać na dole do ramy, tam gdzie gruba nić jest okręconą w około gwoździ. Do wyplatania słomianek użyć najlepiej długiej, cepami wymłóconej słomy żytniej, którą poprzednio dobrze przetrząsnąć, aby zielsko i krótkie kłosy wypadły. Wziąść teraz pęczek słomy, tyle ile można objąć dwoma palcami, rozdzielić na dwie równe części, wsunąć jedną połowę na prawo, drugą na lewo w ramę od dołu i przewiązywać nicią. Trzeba

naturalnie zacząć od środka i wiązać dalej na prawo albo na lewo. Nić mocno przyciągać i zważać na to, aby pęczki słomy nie leżały okrągło, tylko płasko. I tak kłaść jeden pęczek słomy po drugim, dopóki słomianka jest gotową. Potem przeciąć nici u góry i na dole i związać je mocno. Słomę, wystającą po obydwóch stronach zrównać ostrą siekierą. Plecenie, albo raczej wiązanie słomianek nie jest ani trudnem, ani mozolnem, a niejeden mógłby sobie zarobić dużo pieniędzy. Długie wieczory zimowe nadawają się bardzo dobrze do tej łatwej i przyjemnej pracy, może więc na nadchodzącą zimę spróbuje tego kto z naszych szanownych czytelników.

Piszczałki organowe z porcelany. Wedle wiadomości, podanej w „Thonindustrie Ztg.“, czynią się próby z wyrobem piszczałek dla organów i filharmoniów, w którychby miejsce drzewa lub metalu zajęła porcelana. Z dotychczasowych doświadczeń wynika, że piszczałki tego rodzaju nie ulegają wcale zmianie tonu wskutek zmiany temperatury, podczas gdy piszczałki z cyny lub drzewa zawsze zmianę temperatury, na niekorzyść czystości tonu, odczuwają. Strojenie piszczałek porcelanowych ma być także znacznie ułatwione przez zastosowanie odpowiedniej piszczałki. Niedawno temu na pewnym koncercie w Dreźnie użyto harmonium z piszczałkami porcelanowemi, zbudowanego przez organmistrza Jahna. Otóż podobał się w niem powszechnie czysty i dźwięczny ton instrumentu.

Cement metalowy. Do spajania płyt przy budowie mostów kolejowych, utrwalania słupów i wogóle wszelkich części metalowych w kamieniu, do czego używano dotychczas ołowiu lub siarki, zaczyna być w Szwajcaryi zastosowywaną specyalna mieszanina, zwana „cementem metalowym“. Cement ten sprzedawany w drobnych kawałkach, rozpuszcza się na ogniu, a wylany w otwór, gdzie ma być żelazo umocowane, krzepnie natychmiast i twardnieje, łącząc ze sobą silnie spojone części.

Dom z aluminium. W Ameryce, na jednej z pierwszorzędnych ulic Chicago ma wkrótce stanąć dom z aluminium. Podług planu specyalistów i architektów, podstawy domu i ramy porobione będą z mocnych belek żelaznych, które połączone będą płytami z aluminium, a raczej z bronzu, składającego się z dwudziestu części aluminium i dziesięciu części miedzi. Budynek liczyć będzie 64 m. wysokości, w tem 17 piętr.

S.

Drobne wiadomości.

Krety. Jak wiadomo, krety nie zapadają na zimę w sen, żyją jak w lecie, szukając sobie w ziemi owadów i dżdżownic; a tylko kopią chodniki o wiele głębsze, niż w lecie. Zwykle krety zjadają swą zdobycz tam, gdzie ją znalazły; zdarza się jednak, jak to opisał Brehm, że niekiedy gromadzą one zapasy w gnieździe na zimę, przyczem żywe dżdżownice kaleczą w taki sposób, aby nie mogły uciec. Ale Brehm nie bardzo wierzył w ten zwyczaj kreta, a opisał go tylko na podstawie opowiadań rolników. Obecnie rzecz tę poznano bliżej. Pewien ogrodnik w Holandyi, znalazł w jednej norze kreciej podczas zimy 300 dżdżownic, splecionych po 7, lub 8 w kłębek i oddzielonych od siebie warstewkami piasku, lub ziemi. Ogrodnik kretowisko wykopał i posłał amsterdamskiemu zoologowi Bosowi. Bos zbadał, że wszystkim tym dżdżownicom brakuje głowy, gdyż krety odkąsały im po 3 do 5 pierścieni. Chociaż okaleczona część pokrywała się nową skórą, ale już głowa nie odrastała, widocznie zimna temperatura nory przeszkadzała procesowi odrastania pieścieni, który zwykle odbywa się u dżdżownic. Powstaje teraz pytanie, czy kret odkąsił dżdżownicom głowy z zamiarem ubezwładnienia ich, czy nie? Dżdżownica, jak wiadomo, w dwojaki sposób porusza się w ziemi, albo odgarniając ziemię, albo połykając ją. Jedną i drugą funkcyę wykonywa zwierzątko za pomocą narzędzi, umieszczonych w przedniej części ciała. Jeśli ziemia jest pulchna, dżdżownica rozciąga przednie pierścienie tak, że one stają się zupełnie cienkiemi, wsuwa główkę w jakibądź mały otworek w ziemi, ściąga znowu pierścienie i grubiejąc, rozszerza ten otworek. Jeśli jednak ziemia jest twarda i niema porów, wtedy dżdżownica poprostu połyka ziemię otworem ustowym i potem znowu ją wyrzuca. W ten sposób toruje sobie dżdżownica chodniki nawet w najtwardszej ziemi. Widocznie kret wie o tem i w odpowiedni sposób operuje swoje ofiary. Dodać jeszcze należy, że w zimie dżdżownice jedzenia nie potrzebują.

Wolne kwasy próchnicowe w torfie i torfiastych glebach. Badacz szwedzki Rob. Tolf spostrzegł, że nasiona kiełkujące na torfie, zawierającym wolne kwasy próchnicowe (czyli w t. zw. kwaśnym), nie wydają korzeni dorodnych, że korzenie się krzywią na jednem miejscu i skłębiają w węzełki, przez co naturalnie rośliny nie mogą być należycie odżywiane i marnieją. Kiedy torf taki zobojętniono dobrze sproszkowaną kredą szlamowaną, albo wapnem palonem sproszkowanem, to korzenie rozwijały się w nim bardzo dobrze. I tak korzenie pszenicy w jednym i tym samym czasie urosły w piasku na 158 mm., w torfie kwaśnym tylko 37 mm., a w tym samym torfie zobojętnionym na 163 mm. Widocznie z tego, jak ogromne znaczenie posiada użycie wapna na torfach. W związku z temi badaniami, kierownik stacyi dla torfowisk w Bremie, p. Tacke, za pomocą ścisłej metody naukowej wykazał, że ilość wapna, jakiej na różnych torfach powinno się używać, zależną jest ściśle od ilości kwasów próchnicowych wolnych w torfie; przy racyonalnych kulturach torfowisk oznaczenia tej ilości kwasów są więc konieczne.

M. W.

Z botaniki.

Zioła lecznicze

rosnące u nas dziko i hodowane w ogrodach i na polach, ich zgromadzanie, suszenie i przechowywanie.

Opisał

Tadeusz Śniegocki.

(Ciąg dalszy.)

Oman prawy.
Inula Hellenium.

Korzeń gruby w ramiona się rozrastający trwały, o mocnym zapachu, do 6 cali długi, zewnątrz szaro-brunatny, wewnątrz szaro-żółty, rogowaty, giętki.

Łodyga do $1^1/_2$ łokcia wysoka, u wierzchu gałęzista.

Liście jajowo-okrągłe, pomarszczone, obejmujące łodygę, od spodu kosmate.

Kwiat wielki, promienisty, żółty.

Rośnie dziko na miejscach torfiastych, nieco wilgotnych, żyznych.

Oman można hodować na dobrze uprawnych rolach, siejąc w rządki na-



Inula Hellenium.

sienie tak jak marchew, lub sadząc kawałki rozdzielonych korzeni.

Wykopywać korzenie trzeba w jesieni, gdy już liście uschną, oczyścić z ziemi, połupać na kilka części i suszyć w miernem cieple.

Podłużne kawałki połupanego i dosuszonego korzenia wkładać w puszki blaszane równolegle, aby się więcej zmieściło i zamknięte szczelnie strzedz od wilgoci.

Orzech włoski pospolity.
Juglans regia.

Liście orzechowe należy obrywać, gdy owoc jest na dojrzewaniu, suszyć je w miejscu przewiewnem cienko na podłodze lub siatkach rozłożone; gdy doschną układać w pudła nie krusząc, i odstawiać do aptek.

Zielone orzechy, dopóki łupina wewnętrzna jeszcze nie stwardnieje, można także do aptek odstawiać, lecz muszą być zupełnie świeże, a nie zwiędnięte.

Wierzchnią skórę dojrzałych orzechów zbierać przy strząsaniu owoców i sprzedać je do fabryk, w których wyrabiają farby.

Drzewa orzechowego używają stolarze do wyrobu pięknych i trwałych mebli.

Chcąc mieć własnego chowu drzewka orzechowe, należy w jesieni wybrać dobrze dojrzałe i najpiękniejsze owoce, zachować je przez zimę w piwnicy w piasku, na wiosnę zaś zasadzić na zregulowanej przed zimą ziemi nieco piaszczystej, zasłoniętej od północy na 4 cale głęboko, a o łokieć jeden od drugiego; szkółkę opleć, gdy się tego okaże potrzeba i ziemię pomiędzy rzędami wzruszać. Gdy drzewka dorosną przesadzać je na przeznaczone miejsce, dodając im paliki, aby ich wiatr nie łamał.

Paproć męzka.
Paprotka samcza.
Aspidium Filix mas.
Polypodium Filix mas.

Najpospolitsza u nas, ale też najważniejsza z paproci rośnie obficie w lasach lub pod lasami na ziemi piaszczystej lub piaszczysto-próchnicowatej.

Łodyga podziemna czyli kłącz pełzający pod powierzchnią ziemi jest często

na stopę długi a 1 do $1^1/_2$ cala gruby. Powierzchnia kłącza pokryta jest dachówkowato-brunatnemi łuskami, które pozostały jako resztki dawniejszych ogonków liściowych. Wewnątrz ma kłącz mięso jasno-zielone, a w niem ułożone są



Aspidium Filix mas.

w okrąg cieniuchne naczynia włókniste, które po przecięciu poprzecznem można widzieć jako brunatne również w okrąg ułożone kropeczki.

Z łodygi podziemnej wyrastają wprost pierzaste liście na mocnych ogonkach umieszczone, koloru jasno-zielonego, od spodu brunatno kropkowane.

Kłącze wykopywać można tylko w późnej jesieni i połamane na kawałki osuszyć w miejscu suchem a ciepłem, np. w dobrze ogrzanych izbach na osiatkowanych ramach pod posową ustawionych lub zawieszonych, lub też w piecykach miernie ogrzanych, często zawartość przewracając. Wysuszone dokładnie przechowywać w szczelnie zamkniętych słojach lub puszkach blaszanych.

Rozmnażać łatwo, zasadzając w odpowiedniem miejscu kawałki kłącza z drobnemi, nitkowatemi korzonkami na 2 cale głęboko i przykrywając powierzchnią ziemi starem przegniłem igliwiem.

Podbiał pospolity.
Tussilago Farfara.

Roślina trwała, ma łodygę pod ziemią się czołgającą, z której bardzo rychło z wiosny wyrastają szypułki kwiatowe mięsistą łuską pokryte i kwiat żółty do kwiatu mleczu brodnikowego podobny.

Po okwitnięciu zaczynają się rozwijać liście, wyrastające na osobnych ogonkach wprost z kłączka, okrągłe, sercowate, do 5 cali szerokie, głęboko wcinane i ząbkowane, z wierzchu gładkie jasno-zielone, czerwono żyłkowane, od spodu białą pilśnią powleczone.

Zapach słaby, smak szlamisty, cokolwiek gorzkawy i ściągający.

Rośnie na rolach gliniastych, osobliwie w pobliżu zdrojów i jest często uprzykrzonem zielskiem; rośnie także w dołach po wybranej glinie, choćby na zupełnie jałowej ziemi.

Kwiat czas sprzątać, gdyż już na pół rozwinięty, liść w maju i czerwcu; suszyć w miejscu przewiewnem i przechowywać w drewnianych skrzynkach, strzegąc od zakurzenia.

Rozmnażać można, uprawiwszy jako tako miejsca powyżej wskazane, zasadzając młode odrostki rzadko, gdyż, jeżeli im miejsce będzie sprzyjało, same się obficie rozrosną.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dział kobiecy.

Śmiech.



Ile to już pisano o śmiechu i uśmiechu, a nikt nie umie dokładnie określić istoty tego najwymowniejszego dowodu wesołości i radości serca ludzkiego! Śmiech, to orzeźwiająca rosa, która odświeża cały nasz umysł i dodaje nowej swobody ducha.

A jak rozmaitym jest śmiech i uśmiech! Od pierwszego uśmiechu, ukazującego się na twarzyczce niemowlęcia, aż do uśmiechu piekielnego — ileż tam stopni istnieje! Dziecię uśmiecha się instynktem, bo kocha matkę instynktem i wie, że ona stara się o jego dobro i szczęście, a złośliwy, zawistny człowiek śmieje się szyderczo, wyrażając tym sposobem uczucie, napełniające jego czarną duszę. Jaka różnica zachodzi pomiędzy n. p. głośnym, serdecznym śmiechem, wywołanym przedstawieniem komika, a szatańskim uśmiechem Mefistofelesa, drwiącego ze wszystkich pragnień i zapałów Fausta, wierzącego jeszcze w ideały i panowanie dobrego na świecie.

Uśmiech pychy i śmiech rozpaczy, śmiech boleści i uciechy z cudzego nieszczęścia, rozkoszny uśmiech miłości i wykrzywiona śmiechem okropnym twarz zbrodniarza, wszystkie te oznaki pochodzą z uczuć człowieka i wywierają tak silne wrażenie swemi sprzecznościami. I w towarzystwie ma śmiech pewne stanowisko. Głośno śmiać się nie wolno w salonie, pomimo, że nikt właściwie nie wie, dlaczego. Ale dobre wychowanie nakazuje, abyśmy wesołego uczucia, jakie nas opanowało, nie objawiali głośno, może dla tego, że inaczej możnaby się łatwo narazić na podejrzenie należenia do tych, którzy się z byle czego śmieją, co ma być dowodem pewnego ograniczenia. Wszakże Salomon już orzekł, że po „ciągłym śmiechu poznać głupiego“. Że wielki mędrzec miał tu na myśli nietylko wiele, ale i głośnego śmiechu, o tem nie wątpimy, bo i Sirach twierdzi w tej samej biblii, że „głupiec śmieje się głośno, a mędrzec uśmiecha się tylko“. Śmiech szczery i serdeczny ma nawet służyć zdrowiu, a jeden z sławnych ludzi powiedział, że po śmiechu poznać charakter człowieka.

Podczas kiedy śmiech wykrzywia rysy twarzy i szpeci ją nieraz, to uśmiech zdobi czasem nawet najbrzydszą twarz.

Ileż to osób zawdzięcza nieraz szczęście uśmiechowi, który zdobywa serca wszystkich! Wszakże i bogini miłości pozyskała uśmiechem pierwszeństwo przy wyborze Parisa, podczas kiedy majestat Junony i duma Pallas Athene zjednały im tylko szacunek. Uśmiech Cythere zachwycił Parisa tak, że bez namysłu uznał ją za najpiękniejszą i ofiarował jej złote jabłko.

Jak pięknym jest uśmiech na twarzy kobiety! Nadaje on jej niezrównanego wdzięku, i niejeden poeta opisuje urok jego. Słodki uśmiech kobiety trzeba podziwiać i uwielbiać — jest to najpiękniejszy dar, jakim matka przyroda obdarzyła najmilsze swe dzieci, i nieoceniony posag na całe życie.

Ale uśmiech świadczy też czasem o próżności i zarozumiałości i to nietylko u kobiet, ale i u mężczyzn. Przypominam mężczyzn podobnych do Narcyza — którzy z uśmiechem zadowolenia patrzą w lustro i podziwiają własną urodę.

Historya opowiada nam o kilku wielkich mężach, którzy albo rzadko, albo nigdy się nie śmiali. Kato śmiał się podobno raz tylko w życiu, ale za to bardzo serdecznie, dla tego nazywali starzy Rzymianie śmiech krótki a głośny „katonicznym“. Grecki dowódzca Phokion ani się nie śmiał, ani płakał przez całe życie. Sokrates uśmiechał się życzliwie, Demokrates szyderczo. Dziwna rzecz jednak, że komicy i humoryści, którzy na scenie publiczność nieraz do szalonego, t. zw. homerycznego pobudzają śmiechu, sami nigdy się prawie nie śmieją. I tak twórca nieśmiertelnego Don Kiszota, Miquel Cervantes, był wprost melancholijnym, a Molierè, najsławniejszy komedjopisarz francuski uśmiechał się raz po raz z prawdziwym przymusem. Ferdynand Raimund, którego utworów nie można czytać bez uśmiania się do łez, był ponurym, milczącym i skończył samobójstwem. Satyryk angielski Sterne, miał wyraz twarzy rozpaczliwy, tak, że patrząc na niego, trzeba się było litować nad nieszczęśliwym.

Większa część komików nie śmieje się nietylko na scenie, ale i w życiu powszednim. Charakterystyczną pod tym względem jest anegdotka, którą opowiadają o sławnym włoskim komiku Bianzoletti, którego dowcipy na scenie doprowadzały onego czasu najpoważniejszych ludzi w Paryżu do szalonego śmiechu. Pewnego dnia wchodzi jakiś mężczyzna do pokoju jednego z najsławniej-

szych lekarzy paryzkich, w celu wezwania jego rady. Lekarz zbadał chorego, który twierdził, że wszystko złe pochodzi u niego z powodu głębokiej melancholii.

— Pij pan dobre wino, — rzekł lekarz.

— Mam najlepsze gatunki w moim sklepie, — odparł chory, — ale to mi nic nie pomaga.

— Zwiedziłem całą Europę, a przygnębienie nie ustąpiło ani na chwilę.

— To dziwne! No, jeżeli tak, to jeden tylko pozostaje środek. Otóż idź pan codziennie na przedstawienie Bianzoletti'ego. Jego dowcipy uleczą pana z wszelką pewnością.

— Ach, — odrzekł chory z rozpaczą, — widzę już, że cierpienie moje jest nieuleczalnem, bo ja sam jestem Bianzolettim!

M. P.

Stół w szeregu wieków.

Kto chce wiedzieć, jak sobie niegdyś poczynano przy stole biesiadnym, niech zajrzy do świeżo wydanego dziełka Alfreda Franklina p. t. „La vie privée d'autrefois". Dowie się przedewszystkiem, iż w początku XVII stulecia widelec był jeszcze nieznany, a przy jedzeniu obowiązywały następujące przepisy towarzyskie, zanotowane w starodawnym dokumencie z r. 1545: mięsiwo należy brać z łyżki tyko trzema palcami prawej ręki; branie do ust kawałów zbyt wielkich byłoby nieprzystojnem, należy więc kawałki rozdrabniać dwoma palcami ręki lewej. Po raz pierwszy widelce pokazały się we Włoszech.

Miejsce przy stole w połowie XIV stulecia wskazywane było przez przepisy osobne. Najwyżej u stołu siedział pan domu z gośćmi, niżej zaś żona i członkowie rodziny, stosownie do urzędu i wieku, przyczem już ówczas starano się kombinować tak, aby kawaler siedział przy damie. Na miejsce honorowe różne były zapatrywania: w jednych krajach za miejsce poczesne uważano siedzenie z prawej strony stołu, najbliżej komina, gdzieindziej znów miejscem uprzywilejowanem było położone u drzwi wchodowych, nieopodal okna. Przesąd co do 13-tu biesiadników u stołu jest bardzo starożytnego pochodzenia, podobno nawet pochodzi z pierwszych wieków chrześciańskiwa, a źródłem jego było podanie o Ostatniej Wieczerzy, przy której Judasz zajmował miejsce 13-te. Potrawy na stole pozostawiano przed nakryciami, dopóki nie oddalił się marszałek dworu ze służbą, która potrawy wniosła. Aż do połowy XVII wieku biesiadnicy jadali zupę z jednej miski, a o osobnych nakryciach znajdują się w dokumentach wzmianki dopiero około r. 1684.

Potrawy szły w porządku następującym: zupa, jaja, ryby, mięso. Na środku stołu umieszczono *entremets*, jako to: pieczone łabędzie, pawie i bażanty. Po *entremets* szedł deser, poczem zdejmowano nakrycie lub goście udawali się do sal przyległych, gdzie przygotowano wino z korzeniami.

Najwspanialszą z opisywanych przez kronikarzy była chyba uczta, wydana w r. 1458 przez Gastona hr. de Foix i księcia de Viane. Pierwsze danie składało się z mięsiwa pieczonego w białem sosie, drugie z pasztetów i kapłonów faszerowanych, poczem szły szynki z dzika i siedm różnych rodzajów zup. Wszystko to podawano na półmiskach srebrnych, a liczba biesiadników była tak znaczna, że półmisków używano na raz 140. Danie trzecie składało się z właściwego pieczystego, z bażantów, cietrzewi, królików, pawi, młodych gęsi, kaczek dzikich, pieczeni cielęcych, wołowych, sarnich i baranich. Następnie 36 paziów wniosło torty, kremy, owoce w cukrze smażone w całości, pomarańcze i cytryny, najróżnorodniejsze cukry w formie lwów, łabędzi i jeleni, a każde z tych zwierząt miało na sobie herb i dewizę królewską. Po tem wszystkiem dopiero podano trufle, które bardzo długo uważano za część składową wykwintnego deseru.

Przy stole kawalerowie prześcigali się w pięknem krajaniu pieczystego i kunsztownem obieraniu owoców. Stanowiło to osobny przedmiot wychowania, od którego nie byli wolni nawet książęta krwi. Z jabłek, gruszek i pomarańczy obierano skórkę tak, aby jej części pozostawały przy owocach i przedstawiały najróżnorodniejsze figury. Przepis nakrycia stołu książęcego z 1662 r. wylicza 10 różnych sposobów obierania jabłek, 18 — gruszek, 20 — pomarańcz i 12 — cytryn.

Wszystkie potrawy, wchodzące w skład jednego dania, stawiano od razu na stole, tak, jak się to dziś dzieje z deserem. Liczba półmisków zależała od liczby gości. Owoce ustawiono w piramidy tak wysokie, że niekiedy sięgały pułapu.

W XVI stuleciu oszczędne mieszczaństwo paryzkie, nie mogąc zdobywać się na wspaniałe przyjęcia licznych gości, wymyśliło *Piqueniques*, to jest przyjęcia, na których każdy z gości przynosił z sobą swoją część jadła.

Za Karola Wielkiego lektorzy czytywali w czasie uczt wyjątki z pisma św. i poważne rapsody rycerskie; później jednak zapanowały pod tym względem obyczaje swobodniejsze, które niekiedy przybierały formę zwyczajów swywolnych. Lekarz Henryka III-go zabronił swemu królewskiemu pacyentowi przysłuchiwania się w czasie jedzenia lekturze poważnej, więc na porządek dzienny weszły wesołe *Chansons*, *Rondeaux* i *Virelais* (epigramy dwuwierszowe). W czasie wielkich uczt z XIII stulecia odbywały się niekiedy pomiędzy jednem daniem a drugiem widowiska konne lub pantominy które również zwano *entremets*. Podczas bankietu, wydanego przez Karola V na cześć cesarza Karola V w r. 1378 pomiędzy pieczystem a deserem przedstawiono pantominę, osnutą na tle zdobycia Jerozolimy przez Gotfryda de Bouillon, zaś w r. 1389 na bankiecie z powodu wjazdu Izabelli bawarskiej do Paryża trupa aktorów królewskich dała biesiadnikom widowisko, przedstawiające oblężenie Troi.

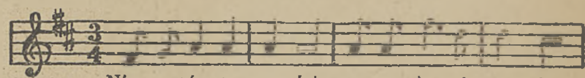
Aż do końca XVI wieku przy deserze używano tylko jednego puhara dla wszystkich obecnych przy stole. Niekiedy na dnie szklennicy kładziono grzankę lub kawał chleba, a gdy zawartość naczynia dobiegała końca, ostatni z biesiadników spożywał ową grzankę, którą zwano *toustée* lub *tostée*, ztąd „toast". Również z XVI wieku pochodzi wznowienie starego rzymskiego obyczaju, który wymagał, aby tyle toastów wypijano na cześć gospodarza domu, ile liter zawierało jego imię.

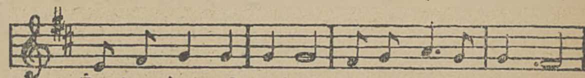
Do dobrego tonu należało podawanie w lecie napojów chłodzonych, w zimie — grzanych. Puharów i szklenic nie stawiano do XVII wieku na stołach, lecz trzymali je na tacach stojący za biesiadnikami panowie lub podczaszowie. Gdy który z biesiadników chciał zażyć napoju, skinieniem wzywał podczaszego, który puhar podawał i napełniał naczynie napitkiem. Trącano się puharami chętnie, zwłaszcza gdy wino szumieć w głowach zaczęło, niekiedy jednak trącanie się odbywało się w okolicznościach smutnych. — Tak n. p. Marya Stuart w przeddzień stracenia na szafocie wezwała do siebie wszystkich służących swoich, a trącając się z nimi puharem napełnionym winem, prosiła każdego o przebaczenie uraz i przykrości doświadczonych.

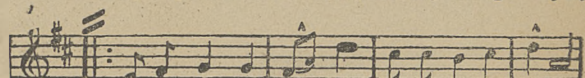
P. K.

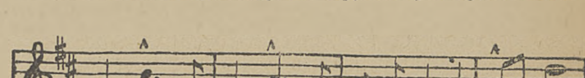
Prawdziwe szczęście.

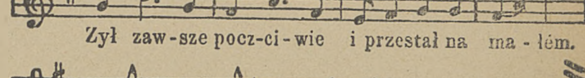
Wesoło.











Nr. 44. Poznań, Niedziela 29-go Października 1899. Rok III.

PRACA

Tygodnik illustrowany, ekonomiczno-społeczny i belletrystyczny.

Przedpłata w Poznaniu **już z odnoszeniem** tylko 1 markę na kwartał.

Redakcya i Administracya w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. **Telefon Nr. 295.**

Przedpłata na pocztach w Niemczech tylko 1 markę kwartalnie. — W Austryi (pod opaską) 1 złr. czyli 1,70 mr.

Nadesłane 50 fen. od wiersza.

„Praca“ zapisaną jest na poczcie w oddziale II, t. 86.
Pojedyńczy numer „Pracy“ nabyć można za 15 fen. z przesyłką 20 fen.

Ogłoszenia zwykłe 20 fen. od wiersza.

KONKURS.

Zbliżają się jedne z najuroczystszych i najpiękniejszych świąt, t. j. święta Bożego Narodzenia czyli radosna „Gwiazdka.“ Święta te są jedynie prawdziwie rodzinne. Zblizka i zdaleka zdążają członkowie rodzin, aby je przy wspólnem przepędzić ognisku, aby zagrzać się przy niem i nabrać otuchy do dalszych walk i trudów. A kto z niezależnych powodów w dniach tych dłoni swej spoić nie może z dłonią mu bratnią, ten niechaj choć zdala łączy się ze swymi drogimi, śląc im opłatek gwiazdkowy. I my pragniemy ze Szanownymi Czytelnikami „Pracy“ połączyć się niejako w jedną rodzinę i zogniskować ich umysły naokoło siebie. W tym celu zapraszamy wszystkich Czytelników do szlachetnej szermierki, ogłaszając niniejszem

Konkurs gwiazdkowy i noworoczny.

Na Konkurs ten należy jedynie przesyłać prace oryginalne, odnoszące się do uroczystych chwil Wilii i świąt Bożego Narodzenia lub też święta Nowego Roku.

Mogą to być bądź poezye, bądź nowele, bądź też stosowne artykuły.

Dla sześciu najlepszych prac wyznaczamy następujące nagrody:

pierwszą nagrodę 50 marek,
drugą nagrodę 30 marek,
dwie następne nagrody po 20 marek
i wreszcie dwie nagrody po 10 marek —

razem więc



6 nagród.



Prace konkursowe nadesłać należy na ręce redakcyi naszej i to



najpóźniej do 5-go Grudnia r. b.



Prace nadesłane po 5-tym Grudnia tracą prawo do konkursu.

Oprócz nagrodzonych prac zamieszczone będą także prace nienagrodzone, a nadające się do druku.

W nadziei, że Szanowni Czytelnicy zaproszenie nasze przyjmą z zadowoleniem i że przyczynią się do najobfitszego plonu konkursowego — kończymy hasłem: „Do czynu!“

Redakcya „PRACY.“



W Zaduszny Dzień.

I.

W zaduszny dzień, w zaduszny dzień,
W jesienny wieczór szary,
Pada na duszę smutny cień
I wstają dawne mary,

Z długiej swej drzemki budzą się
W mogiłach zapomnianych,
I lecą cicho, jakby w śnie,
Do drogich i kochanych.

Na znanym progu stają znów
Postacie niewidzialne
I budzą roje złotych snów,
Jak pasma idealne.

W pałacu możnym słychać szmer
I w cichej kmiecej chacie,
Płynie, jak echo, z górnych sfer:
„Pamiętasz?... Pamiętacie?...“

II.

I serca zwiędłe drgnęły już,
I czują i żałują:
Szkoda im wonnych wiosny róż,
Co dzisiaj nie czarują,

Szkoda im jasnych onych dni,
Gdy słońce lśniło młode,
Wołając duchom: „Leć i śnij“ —
W majowych lat pogodę!



Gdy świeży zapał w piersiach drżał,
Hartownych nakształt stali,
Że zda się — nawet granit skał
O pierś tę się rozwali.

I nie powstrzyma górnych jazd,
Nic w drodze nie powstrzyma!
Na szczyt! na szczyt! do złotych gwiazd,
Gdzie nigdy zimy niema!

III.

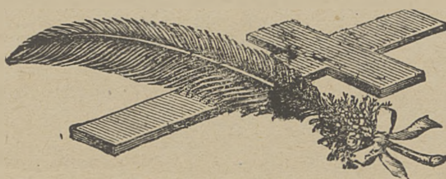
Szaro i dżdżysto... smutny dzień
Zachodzi, gaśnie, kona,
Widma wracają w grobu cień,
Mknie rzesza oskrzydlona.

A tym, co żyją, z oczu łzy,
A z serca blask polata:
Wróciły wiosnę dawne sny
Zmrożonym zimą świata.

Bo czują serca, że wciąż trwa
Ziemi i nieba związek,
Że tląca w piersiach wiary skra,
To święty obowiązek.

Bo czują żywi: oni tak
Do swoich przyjdą dzieci,
Badać, jak błędny, smutny ptak,
Czy zagasł duch, czy świeci?

Or—ot.



Dzień zaduszny.

Dzień ten jest niejako tryumfalnym obchodem Kościoła katolickiego i wszystkich mężów prawdziwej nauki i wiary. Jest on powiewającym sztandarem na gruzach świątyni materyalistów i tych wszystkich pseudo-filozofów, którzy swemi niedowarzonemi teoryami pragnęliby wmówić w świat, że nie masz duszy, ani życia zagrobowego. Ale ci panowie, zaślepieni rozwiozłym i burzliwym celem własnej opinii, zapomnieli widać, że mają do czynienia z instytucyą Bozką, z Kościołem nieomylnym, który, każąc wierzyć w życie przyszłe i modlić się za umarłych bliźnich, nic innego nie czyni, tylko podaje nam to, co mamy w Piśmie Świętem, co nie jest wcale przeciwne rozumowi i w co od wieków wierzono.

Miejsce i szczupłość ram w „Pracy“ nie pozwalają mi szerzej rozpisywać się nad dowodzeniem tej wielkiej i pocieszającej prawdy; ale że w bardzo odległej starożytności mamy ślady modlenia się za umarłych, o tem widzę konieczną potrzebę choć cokolwiek wspomnieć; albowiem, jeśli zapatrywać się będziemy li tylko z punktu historycznego, okaże się, iż Kościół, ustanawiając dzień modlitwy za wszystkie dusze zmarłe, nic nowego nie wprowadził, tylko zwyczaj pogański i przedchrześcijański, lecz chwalebny i racyonalny, oblókł w chrześcijańską szatę.

Jest to wrodzonem naturze ludzkiej, że jakaś nić tajemnicza wiąże człowieka i jego byt ziemski z przyszłym. Gdybyśmy sobie nie wiem jak chcieli wyperswadować, że nasza istota jest śmiertelna, że nas nic po za grobem nie czeka, to tego niedokażemy, bo jakiś głos wewnętrzny ostrzega nas inaczej, jakiś niewysłowiony pociąg zbliża nas do prochów pradziadów; serce i myśl goni za nimi, a to uczucie, ten związek, właściwy jest nietylko nam oświeconym chrześcijanom, ale i wszystkim ludom barbarzyńskim, w czasach najciemniejszych i najdzikszych; prawda ta o życiu przyszłem, o czci i pomocy zmarłym, nigdy nie była i nie jest obcą. Twierdzić zaś, że to tylko jest czczy wynalazek Kościoła — znaczy, nie znać wcale dziejów, nie słyszeć historyi.

Już bowiem Homer opiewa w swej Iliadzie ucztę Achillesową, poświęconą cieniom zabitego Patrokla. I w żaden sposób nie można brać tego ustępu epopei za sam tylko polot poetyckiej fantazyi, ale koniecznie za zwyczaj całej ówczesnej Grecyi. Plato, Wirgiliusz, Cycero i Seneka, podobnemiż w swych pismach nie gardzą obyczajami. Były nawet przepisane pewne formuły modlitw za umarłych, np.: „Dusze niebieskie, przyjdźcie mu w pomoc. Niech bogowie będą łaskawi na ciebie. Najświętsze cienie, polecam wam małżonka mego, racz-cie mu okazać pobłażanie“ itp.

Indyanie, Egipcyanie, Chaldejczykowie, mniej więcej jednakowe w tej mierze, mają wyobrażenie, a u niektórych z tych bałwochwalczych narodów, żony zabijały się na grobach mężów, aby im być towarzyszkami jeszcze i na tamtym świecie. U Indyan okrutny ten zwyczaj dziś nawet nie jest wykorzenionym i często można smutną usłyszeć wieść o dobrowolnie lub przymusowo płonącej na stosie ofierze fanatycznej czci dla zmarłych braminów.

Wódz żydowski, Judasz Machabeusz, posyła dary do Jeruzalem, aby się tam modlono za jego żołnierzy poległych, iżby od grzechów byli rozwiązani. Historyk Józef wskazuje, że wiara ta jeszcze za jego czasów się utrzymywała, świadcząc, iż Żydzi nie modlili się za samobójców.

Kolumb, odkrywając świat nowy, znalazł u tamecznych mieszkańców cześć dla mogił i wiarę w życie pozagrobowe; a J. Arago w swoich podróżach opisuje wielkie uszanowanie ludożerców, ku miejscom przeznaczonym na pochowanie ciał zmarłych.

U nas Słowian w czasach bałwochwalstwa, oprócz żony lub branki kładziono jeszcze do mogiły nieboszczyka konia i zbroję, aby i nadal mogła swemu panu służyć.

Litwa i Żmujdź pogańska, obchodziła w końcu jesieni uroczystość Dziadów, poświęconą pamięci zmarłych swych przodków. Zgromadzono się wtedy na cmentarzach, gdzie z największą uroczystością i powagą, osłoniętą jakąś straszną tajemnicą, zastawiano na mogiłach potrawy i napoje, wśród różnych modłów i zaklinań. Mickiewicz wybornie opisał wierszem te sceny. Wszystko to dowodzi jasno, że nawet w nieoświeconem pogaństwie były pojęcia o życiu przyszłem, a nawet pewne dni w roku poświęcone samej tylko pamięci umarłych.

Kościół katolicki, szanując wszystko co szacunku godne, nie mógł nie pochwalić tej ogólnej wiary ludów w przyszłość i obcowanie z duszami, a nawracając one narody, już mu łatwiej było je przekonać o pośmiertnem życiu i nieśmiertelności. Wsparty zaś na powadze Bozkiej, sam wierząc i nauczając, że oprócz Nieba i piekła, jest trzecie pośrednie miejsce dla dusz, gdzie tylko do czasu karanie cierpią, i że im modlitwami i dobremi uczynkami pomódz możemy, nie mógł się znów nie zgorszyć krwawemi ofiarami i objawami u pogan; zniósł więc co było nagannem, a kierując się uczuciem Chrystusowej miłości i naturalnem popędem ludów, ustanowił raz do roku uroczystość wspomnienia wiernych zmarłych albo Dzień Zaduszny.

Już w II-gim wieku po Chrystusie, mamy o tym dniu wzmiankę u Tertuliana, jednakże nie było jeszcze o nim powszechnego jak dziś jest prawa. Marcin Polak przypisuje takowe Bonifacemu IV roku 607; lecz to tylko pewna, że S. Odilon, Opat Kluniaceński r. 998 po wszystkich swoich klasztorach naznaczył stale jako Dzień Zaduszny, obchodzić dzień 2-go Listopada, nazajutrz po Wszystkich Świętych, co się aż do dziś dnia praktykuje.

Zapewne, że nigdy w roku ludność nie wygląda poważniej i smętniej, jak w owym dniu. Już w wigilię przejmują do głębi duszy żałobne nieszpory i ów katafalk w oczach ludu wznoszony na środku kościoła. A podczas procesyi, gdy kapłan kropi święconą wodą, kogóż nie przejmie dreszcz na te słowa: „Dzień, on dzień gniewu Pańskiego“.

Nazajutrz, to jest w sam dzień Zaduszny, snuje się od rana zamyślony ludek po kościołach i miasto pogańskich dziadów i objat, miasto styp z legumin i napojów na kurhanach nieboszczyków katolicy modlą się wspólnie za nich, aby im Bóg darował kary czyścowe; rozdzielają jałmużnę pomiędzy ubogich i skromnym, lecz serdecznym datkiem przyczyniają się do podniesienia świetności obrzędów. Kapłani znowuż, grozą zaklinań i czarodziejskich wywoływań, nie straszą ludu jak w bałwochwalstwie, ale w pośrodku wiernych swych braci, wznoszą za dusze zmarłe najczystszą ku niebu ofiarę, modlą się i innych do modlitwy zachęcają. Cóż to za różnica pomiędzy Grekami, Egipcyanami, Indyanami i t. p. a Kościołem katolickim? Tam ciemnota i barbarzyństwo — tu miłość i modlitwa; tam krew i płomień — tu niekrwawa ofiara, tu dziecko łzę cichą upuści na grobie ojca i matki; tu rodzice westchną żałośnie za swoim synem i córką; tu brat za siostrę, siostra za brata, przyjaciel za duszę przyjaciela, żebrze u stóp krzyża litości — a wszystkich, żywych i umarłych — łączy jedno ogniwo, jeden wieniec złożony z takich kwiatów jak wiara, nadzieja i miłość, a wzbija ku niebu takie skrzydło jak modlitwa! — O, proszę, niech w Dzień Zaduszny stanie przed kościołem jaki niedowiarek albo materyalista i niech usiłuje z całą swoją mniemaną erudycyą dowieść ludowi, że nie ma dusz ani przyszłego życia, niech prawi, a jeśli kogo przekona, a jeśli go nie wezmą za idyotę, zobaczemy...

Nakoniec, nie od rzeczy tu będzie wspomnieć niektóre podania ludowe o Dniu Zadusznym, krążące z całą powagą pomiędzy ludem po wsiach i miasteczkach, a zupełnej od nich używające wiary. Są

oni tego zdania, że dusze zmarłych o jednej godzinie wieczorem zbierają się razem do parafialnego kościoła, gdzie na modlitwie krótkie chwile spędzają, wolne będąc od mąk, jakieby cierpieć przez ten czas musiały. Przysłuchałem się nieraz opowiadającym wieśniakom, że w Dniu Zadusznym około północy widzieli światło w kościele, słyszeli głos dzwonka na wieży, organy grające, śpiewy i t. p., a sam byłem świadkiem, jak organista przysposobił na noc ornat i kielich dla księdza, co będzie duszom Mszą św. odprawiał. Niech Bóg broni, aby kto z żywych miał im nabożeństwo przerwać! Oto smutny przykład podobnego zuchwalstwa:

Ciekawa i lekkomyślna dziewczyna postanowiła tej strasznej nocy pójść do kościoła, aby się przekonać, co się tam dzieje. Nie zważała na wszelkie odrady i perswazye, wesoła jak dziecko, punkt o jedenastej była już na cmentarzu. — Wiatr wyje wściekle nad głową, dęby i więzy skrzypią nielitościwie, a tumany kurzu i piasku zasłaniają jej świat cały, biją w oczy i patrzeć nie dają. Ołowiane chmury szumią w górze i pomykają jakby je kto gonił, a przelękniony księżyc błyśnie niekiedy bladem obliczem, przypatrzy się ziemi i znów się schowa, zakopie w obłokach. Wróble, puszczyki i sowy, bijąc a trzepocząc skrzydłami, uciekają z wieży do dziur i dziuplów jak wściekłe; tylko jedna dziewczyna drwi sobie z tych dąsów przyrody, i cicho, na palcach, skrada się od kruchty do kościoła. Drzwi odemknięte, świece się palą, organy żałobnie grają, a ludzi pełno, jak w największy odpust. Wszyscy się modlą i klęczą, a każdy taki przejrzysty jak mgła, a taki lekki jak piórko; bo choć dziewczyna przez środek się ciśnie, to przecież ciżby nie czuje, tylko sobie najswobodniej idzie, to w tę, to w ową stronę. Około ambony spotkała nieboszczkę siostrę, chce się z nią witać, a ta jej szepnie: Na Boga, siostro! pocoś tu przyszła, mącić nasz spokój i naszą modlitwę! Uciekaj, uciekaj zaraz, bo zginiesz! Dziewczynie włosy powstały na głowie, wybiegła z kościoła jak strzała i pędzi do domu. Ogląda się, a dusze ją gonią i już tylko co jej nie pochwycą. Zrzuca ze siebie chustkę i co jej sił starczy, ucieka. Dusze złapały chustkę, podarły, poszarpały na drobne kawałki i tym zajadlej gonią dziewczynę. Już jej sił ubywa, lecz jeszcze rzuca za siebie fartuch: ale dusze podarły fartuch i jeszcze nie przestają gonić dziewczyny. Nie ma rady, trza zginąć marnie, tak sobie pomyślała biedna — i jeszcze zrywa spódniczkę, rzuca za siebie, a jak może, tak się ratuje. Dusze złapały spódniczkę, podarły i poszarpały na drobne kawałki, ale darować nie chcą dziewczynie. Już mają złapać i rozedrzeć nieszczęśliwą, wtem dwunasta bije, wszystko gdzieś znika, a dziewczyna na trzeci dzień umiera.

Pewnej matce umarła najmilsza pociecha, jedyne dziecko. Biedna kobieta płacze a płacze, rok jeden i drugi, ale się we łzach utulić nie może; opuściła ręce, do niczego się nie bierze, tylko łzy ociera, a płacze. Nie może dłużej wytrzymać, nadszedł Dzień Zaduszny i poszła w nocy do kościoła, aby tam ujrzeć swe dziecię, swe skarby, a choć na chwilę ukoić ból serca i tęsknotę. W kościołku duszyczki się modlą, nieboszczyk pleban odprawia mszą św., zmarłe chłopczyki dzwonią we dzwonki, nieznany organista przygrywa na chórze. Strapiona matka chodzi i szuka swojej dzieciny, ale jej znaleść nie może. Widzi dawnych dziedziców w kolatorskiej ławce, księży po konfesyonałach, tylko dziecka nie widzi. Żal ją wielki ogarnął, że z niczem odejść już miała, lecz jeszcze spogląda za ołtarz... i — niedowierza... patrzy, to samo dziecię, drobne jak gołąbek, dźwiga ogromny dzban i unieść go nie może. O mój aniołku, a co się tak męczysz? Matulu droga! to wasze łzy muszę za karę nosić w tym dzbanie. Już mi za ciężko, a nie długo, to i rady sobie nie dam. Nie płaczcie, nie płaczcie, jeśli mnie kochacie! Nagle kury zapiały, w kościołku pusto jakby nigdy nic — a kobiecina już łez nie leje, tylko czasami wzdycha za dzieciną. —

W Poznaniu jest piękny zwyczaj, przejęty z Warszawy i Krakowa, iż w wigilię Dnia Zadusznego, jako też i w sam Dzień Zaduszny, zbiera się kilkotysięczna ludność na cmentarzach i tu dopiero, kładąc na grobach wieńce i kwiaty, lub zapaliwszy świece albo lampy, modli się za dusze zmarłych swych krewnych lub drogich osób. a modli się serdecznie i gorąco, jak serdecznemi są te łzy, co jej w oczach błyszczą, jak gorącym jest ten płomień świateł gwiaździstych, który z cmentarzy i posępnych mogił czarujące sprawia zjawisko.

Ks. Drużba.



CZEŚĆ
Braciom poległym...

Dzień posępny dogorywa,
Wieczór zeszedł, mgła opada,
I na niebie gwiazd przybywa,
A tęsknica sercem włada.

Dzień zaduszny... jakże smutny!
Czyli jaki duch pokutny,
Jęcząc leci w przestrzeń świata?
Czyli duchów kawalkata,
Porzuciwszy rajskie strony
Płynie po nad kraj skrwawiony,
Nad mogiły krążąc wiankiem,
By wróciwszy w niebo z rankiem,
Skargę zanieść przed tron Boży?

Tam gdzie gwiazd tych świecą roje,
Widzi oko duszy mojej
Sta postaci w szacie białej;
Ucho duszy mojej słyszy
Ciche jęki śród tej ciszy,
Co rozlana w strzeni całej.

Wszak z pod Orszy to rycerze,
Co tak kroczą w pełnej wierze!
Przesłonili dłońmi oczy;
Straszny ból im serca tłoczy,
A tam dalej w jasnej zorzy
Świeci Jana zastęp hoży,
W żalu na niewdzięczne ludy,
A ten głośny gwar co znaczy?
Znam was Barscy, znam tułaczy!
Świat podziwia wasze trudy;
Dotąd sława waszej broni
Echem w polskich sercach dzwoni.
I te nowe znam ja głosy:
Racławickie nasze kosy;
A za niemi groźne słowa,
A za temi ciche jęki:
To rycerze z pod Grochowa,
To rycerze Ostrołęki!

Duchy czyste, płyńcie w ciszy,
Wróćcie w wieczne tam przybytki,
Niechaj żaden z was nie słyszy
Jako ludy bluźnią Bogu,
Bo ten świat od grzechów brzydki,
Zaprzedany w służbę wrogu,
Nie wart jednej myśli waszej!

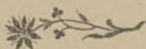
. . . .

Z cielcem złotym, z wagą w ręku
Nie dosłyszy ofiar jęku,
Ni sam zdolny do ofiary; —
Bo od grzechów, zbrodni stary,
Nie pojmuje, co jest z ducha,
I nie słyszy, chociaż słucha,
Jako zegar wieków bije!
A wróg krew jak upiór pije!

O już idą, idą oni...
To najmłodsi! — Tam na błoni
Jeszcze świeża krew ich płynie,
Tam na drewnach szubienicy,
Jeszcze nimi wiatr kołysze;
Cześć wam! cześć wam męczennicy!
Cześć Narbucie! Cześć Marcinie!
Cześć ich dzielni towarzysze!
Wy najdroższe Polski dzieci,
Wy zwycięzcy, choć polegli,
Wy coście nas tu odbiegli,
Którym światło boże świeci,
Wy ogniste Cherubiny,
Płyńcie w ciszy nad tą niwą,
Nad Ojczyzną nieszczęśliwą,
Nim wlecicie w kraj nadniebny!
Pacierz dla was niepotrzebny,
Boście krwią zmazali winy,
Krwią stwierdzili waszą wiarę.
Nam to, nam za grzechy stare
Orędować do was trzeba,

Uproścież nam łaski nieba,
By ten posiew nie był marny,
Posiew krwawy i ofiarny;
By nam lepsza zeszła dola,
Aby nad tych gruzów stosy
Rozebrzmiały Boże głosy,
Prysła straszna ta niewola —
By jako rzekł Bóg na niebie:
Przy powszednim naszym chlebie,
Imię Jego się święciło,
I Królestwo przyszło Jego
I Jego się działa wola!

Zeno Jasmin.



W zimowe wieczory.

Jedyne szczęście, kto w szarej godzinie
Z kilku przyjaciół siadlszy przy kominie
Wyrwał się myślą do szczęśliwszych czasów
I dumał, marzył o swojej krainie.

Mickiewicz.

Chłód i zima zbliża się coraz więcej; słońce choć świeci to promienie jego jakieś słabsze i bledsze, nie mają tej siły i ciepła, co dawniej; minęły czasy wspólnych wycieczek do lasów, w pola i dąbrowy, nastaje zaś pora długich wieczorów zimowych. Nasuwa się więc pytanie, jak spędzać te zimowe wieczory przyjemnie a z korzyścią dla ducha i umysłu?

W naszym narodzie więcej niż w którymkolwiek kwitnie życie rodzinne; Niemcy i Francuzi wytworzyli u siebie znacznie więcej tak zwane restauracyjne życie; u nich restauracya, „knajpa“, jest zazwyczaj miejscem zbornem dla bliższej i dalszej rodziny, dla przyjaciół i znajomych. Chcąc zachować swoję odrębność narodową, powinniśmy ten rys charakterystyczny zachować i tem bardziej familijne nasze życie pielęgnować i uprawiać. Znanem ogólnie jest to zdanie, że odrodzenie i moralność narodu, na odrodzeniu i moralności rodziny ugruntować należy; ożywione i ciepłe życie narodowe w rodzinie będzie przeto jednym z najsilniejszych i najskuteczniejszych środków w naszej pracy i walce o zachowanie narodowości i ducha narodowego od skazy, od wpływu germanizacyjnego. W ostatnim czasie coraz częściej słyszeć można to zdanie, że my Polacy jako naród nie mamy się czego obawiać, że się „w łyżce wody utopić nie damy“. O ile takie orzeczenie ma w nas wpoić lepszą i silniejszą wiarę w przyszłość i tem wzmocnić i ustalić nasze siły, o tyle dobrze będzie, jeżeli je sobie będziemy nieraz powtarzali; lecz obyśmy ufni w to orzeczenie nie założyli rąk bezczynnie i nie popadli w ospałość! „Czuj duch“ to powinno być hasłem każdego i o każdej porze.

Otóż rozbudzenie i utrzymanie tego ducha ułatwimy sobie w znacznej mierze, rozwijając właśnie życie rodzinne, do czego długie zimowe wieczory najwięcej dają nam sposobności. Jak niegdyś ojcowie nasi gromadzili się przy kominie, przy blasku łuczywa, tak i nas w obecnym czasie niech gromadzą wieczorne godziny za wspólnym stołem. Wieczorem, kiedy mężowie powrócą od pracy całodziennej, synowie ze szkół lub warsztatów, córki od różnych zajęć swych, niechże się wtedy wszyscy gromadzą do wspólnej rozmowy, wymiany myśli, do wspólnej pieśni, a wytworzy się wśród nich ten nastrój ciepły i serdeczny, który poeta opisuje temi słowy:

Kiedy matka nad kołyską
Śpiewa dziecku piosnek roje
A dziadunio siedząc blisko
Opowiada dawne boje,
Wtenczas szczęściem pierś nabrzmiewa
Myśl błękity by objęła,
Gdy dziecięciu matka śpiewa:
„Jeszcze Polska nie zginęła!“

Takie chwile będą strudzonemu pracą całodzienną jakoby zdrojem ożywczym, w którym siły pokrzepiać i orzeźwiać będzie. O ileż więcej korzyści umysłowej i duchowej odniesiemy, spędzając w ten sposób przy własnem ognisku wieczory, niż gdybyśmy ciepło rodzinne po obcych lokalach i kątach roznosić i roztrząsać mieli. Kiedy nie stanie dosyć przedmiotu do uczciwej pogawędki, niechże matka lub ojciec biorą wtedy dzieła naszych pisarzy i poetów, z których największy o tem marzył, by książki jego pod strzechy nasze zbłądziły, niechże biorą ich dzieła i w głos czytają młodzieży. Szczególnie młodzież z tak spędzonych wieczorów wielkie będzie miała korzyści i wrażenia odniesie na całe życie. Z takich wieczorów wyniesie młodzież nasza na życia drogę zamiłowanie do dziejów i rzeczy ojczystych, do naszych powieści i poematów, w których się życie narodu odźwierciedla, a nie mniej pozostanie mu zamiłowanie do zajęcia umysłowego, zwracającego ducha w wyższe sfery i wyrabiającego w nim potrzeby umysłowe.

Niejednemu z młodych, czy to synowi, czy córce przyjdzie może później opuścić dom rodzicielski, iść za chlebem na kraj świata i pędzić życie wśród obcych. Otóż takie wrażenia za młodu pod strzechą ojcowską odniesione nie zatrą się w duszy jego, nie pozwolą mu zapomnieć, że polska ziemia i polska niewiasta go zrodziła; wspomnienia takie pójdą za nim jak talizman i przypominać mu będą, że choć wśród obcych on powinien wytrwać, zostać i być Polakiem; wspomnienia takie ochronią go może od niejednej szkody i zła na duszy i ciele. Dla tego to zwracamy się do naszych czytelników po wsiach, miastach i miasteczkach z wezwaniem, by nie marnowali tych długich godzin zimowych, ale wyzyskali je tak, aby z tego korzyść dla nich i dla narodu wynikła. Im więcej jednostka pracować będzie nad swoim duchowym rozwojem i uszlachetnieniem, tem bardziej podniesie się poziom umysłowy narodu, tem dzielniej będziemy mogli staczać walkę o nasz byt materyalny i narodowy.

Cassius.



Polska kultura w Poznańskiem.

Mamy za sobą sto lat życia, które spędziliśmy odcięci politycznie od reszty Polski. Czy te sto lat wycisnęło na nas jakie piętno odrębne? Podobno tak. Przybysze z Królestwa Polskiego utrzymują, że jesteśmy inni jak bracia nasi za kordonem, że w ustach naszych mowa nam inaczej brzmi, że inny charakter nasz, inne obejście zewnętrzne, inne w końcu poglądy, dążenia, pragnienia.

A kto dłuższy czas spędził tu i tam, przyzna, że w słowach tych wiele prawdy. — Oddycha się tu i tam inną atmosferą, która się bezpośrednio udziela, pytanie tylko, co tę atmosferę rodzi. — A jest wielu ludzi, którzy z pozorów tylko sądzić umiejąc, czynią nam z tego zarzut, mówiąc, że jesteśmy mówiącymi po polsku Prusakami.

Głupi i lekkomyślny to zarzut. Społeczeństwo każde żyje i przechodzi odmiany jak jednostka. Podlega wszechstronnym wpływom i do wpływów tych i potrzeb, które czas rodzi, akodomować się musi, jeżeli pragnie rozwijać się i żyć. Warunki bytu naszego w ostatnich stu latach zmieniały się tak szybko i straszliwie, że dzisiaj ludzie starzy, którzy kiedyś na inne patrzeli czasy, załamują ręce i tracą ducha i zżyć się nie umieją z warunkami bytu młodego pokolenia: w innej szkole się chowali, wśród innych warunków i z kim innym pracowali;

dziś nie umieją pracować już i działać i chodzą między nami jak żywe pamiątki a zarazem żywe napomnienie: idźcie naprzód i zahartujcie duszę do ogromu potrzeb, inaczej wytrącą wam z rąk narzędzie pracy. Tak więc rośnie wśród nowych warunków w nowej szkole nowe pokolenie, które, aby byt społeczny podtrzymać, znaleść musi w sobie energią przezwyciężenia trudów nowych i przeciwności.

Wychodźcy nasi wracając z Ameryki do kraju, wracają inni jacyś, inaczej się biorą do chleba, do pracy, inne zaufanie mają do sił własnych — pomimo że w głębi duszy te same mają wierzenia, te same tradycye, tę samą miłość do kraju i przeszłości. Są w sercu Polakami, a jednak charakter ich odmienny, choć w drobnostkach tylko, od naszego.

Jest to objaw tej ludzkiej zdolności dostosowania energii do potrzeb i wymagań zewnętrznych.

Weźmy teraz na uwagę ogromną różnicę bytu naszego: z przed stu laty a obecnie, zastanówmy się nad całem pasmem zawiedzionych nadziei, klęsk, udręczeń — a zrozumiemy wtedy, jak ogromnie rozwój nasz historyczny wpłynąć musiał na charakter nasz. Jesteśmy ci sami Polacy, którzy kiedyś pod Wiedniem walczyli, którzy przebyli Racławice i w powstaniach ginęli, tę samą miłość mamy do kraju i przeszłości, a jednak te zwyczaje nasze, poglądy na świat i ludzi, które tworzą t. zw. charakter, musiały uledz zmianie.

Jest to historyczną i duchową koniecznością. Czyż można więc nam z tego czynić zarzut?

Przeciwnie; umieliśmy dorosnąć do trudniejszych warunków bytu, zachowując przymioty, które się składają na narodowość, a że dostosowanie się podobne jest skutkiem pełnej trudu pracy, więc cześć dla pracy naszej.

Społeczeństwo staje się coraz bardziej przemysłowem. — Inne pole pracy, inne zajęcie wymaga pewnych specyalnych przymiotów duchowych, które wyrobić w sobie trzeba. Umieliśmy się więc nauczyć cenić czas i być słownymi w drobiazgach. Umieliśmy się stać solidniejszymi. — Niestety nieraz zauważyć można, że przemysłowiec czy kupiec Polak zamało jeszcze wyrobił w sobie poszanowanie czasu, punktualność i słowność. — Zamało jeszcze dorósł do wysokości zadania swego.

Żyjąc tak wśród odmiennych warunków bytu, różnić się musimy pod względem charakteru od braci naszych z za kordonu, którzy inną przeszli niż my historyą i dziś wśród tak zupełnie innych żyją warunków: ekonomicznie bezwarunkowo łatwiejszych, pod względem narodowym mniej niebezpiecznych, gdyż nie są pomieszani jak my z ludnością obcoplemienną, a pod względem swobody wypowiadania myśli swych może jeszcze przykrzejszych niż my.

Są te różnice charakteru choć minimalne tylko i może bardziej do różnic w chwilowem usposobieniu podobne — które nieraz zupełnie znikają z oczu, nieraz przy nadarzonej sposobności, gdzie chodzi o poglądy na świat i życie, bardziej występują.

Może inną razą nadarzy nam się sposobność pomówić o różnicy w życiu umysłowem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kostryn.



Welehrad i idea Cyryllo-metodyjska na Morawie a obecne czasy.

I.

Welehrad to wielce drogie miejsce dla każdego Morawiana — to nasza polska Częstochowa — to dziś wobec walki z Niemcami Palladium narodowe morawskie — to istny Syon Izraela! Podobnie bowiem jak Izraelici w niewoli Babilońskiej tęskniąc za ojczyzną śpiewali: Jeśli Cię zapomnę Syon — ojczyzno moja! niech moja prawica usycha, niech język przyschnie do podniebienia mego, jeśli za Tobą me serce nie wzdycha, tak Morawianin oczarowany tem słowem „Welehrad“ przy każdej sposobności za Welehradem i za jego wielką minioną przeszłością wzdycha.

Przeto mili Czytelnicy! gdy dziś tyle się mówi i pisze o słowiańskiej solidarności, chcę wam jako Polak goszczący na Morawie o tym Welehradzie nieco napisać.

Jadąc koleją przez pszeniczną Hanę i żytne Słowacko stajemy w Węgierskim Hradyszczu a ztąd jako pielgrzymi piesi pośród pól i lasów w jednej godzinie przychodzimy do Welehradu „illam ineffabilem Rastici munitionem“ tj. do niezmiernego ongi grodu Rościsława, jak stare kroniki piszą. Dzisiejszy Welehrad to miasteczko o 600 mieszkańcach! ale dawniej rozciągał się szeroko i obejmował dzisiejszy Hradyszcz, Stare miasto, a jedną z bram jego był dzisiejszy Bzeniec (Bizenc) 4 mile oddalony od Welehradu. Taka to wielka była siedziba najpierwszego i największego państwa Słowiańskiego Samona, Świętopełków i Rościsławów, Wielko-morawskim zwanego i od szóstego stulecia aż do r. 906 istniejącego t. j. do czasu, gdy Niemcy i Madziary to państwo rozbili, a po tysiącu latach ci sami i dziś chcą zgnębić te słowiańskie szczepy!

Dopiero w r. 1198 po ukształtowaniu się stosunków Władysław Jindrich, margrabia morawski i brat jego Przemyśl Ottokar, król czeski, pamiętni na tę kolebkę pierwszych ucywilizowanych Słowian odnawiają Welehrad, budując wspaniałą 86 metrów długą świątynię, a nad głównym jej portalem umieszczają do dziś widne herby — lwa i morawską orlicę.

Ale Welehrad nie tak z tego, że był kolebką zachodnich Słowian, ale więcej z tego jest słynnym, że tu w r. 863 przychodzą na Morawę dwaj wielcy Apostołowie Słowian Cyryl i Metody; apostołowie nie tylko św. wiary, ale języka narodowego, oni to pierwszy alfabet słowiański (cyrylicą zwany) ułożywszy w rodzimym języku dali im pismo św. a przeto obaj wielcy święci i wielcy patryoci (vlasteńcy). Nie będę tu opisywał ich żywota, bo już pewnie słyszeliście o nich wiele, ale wspomnę tylko, że i dla nas Polaków są oni pośrednio apostołami a nawet jak stare księgi piszą byli w Polsce i pierwsze biskupstwo w *Haliczu* założyli.

Welehrad po odbudowaniu w roku 1198 zamieszkiwali zakonnicy, Cystersi synowie św. Bernarda wielkiego, czciciela P. Maryi; jedni z nich uczyli w szkole, inni pracowali po licznych już na on czas parafiach morawskich; inni wreszcie zamieszkali po filiach klasztoru, trzebili lasy, stawiali mosty i torowali drogi. Niestety! Pan Bóg swoje a djabeł swoje działa — mówi przyszłowie; oto powstaje Husytyzm, ta sekta kacerska a groźniejsza od napadów dzikich Madziarów i Szwedów; bo to sekta, co pod płaszczem narodowym zalała, jak lawa ognista, całe Czechy i Morawę. Doprawdy! te dwa kraje tak bogato uposażone od Pana Boga byłyby dziś ozdobą Słowiańszczyzny i całej cywilizacyi, gdyby przez te narodowo-religijne wojny husyckie nie zniszczono tyle narodu, tyle szkół, kościołów, zabytków przeszłości a szczególnie, że wstrzymany został na całe wieki prąd cywilizacyjny tych 2 krajów.

Welehrad stał się po kilkakroć pastwą płomieni, praca Cystersów poszła z dymem pożarów, a całą pamiątką wielkości jego został kościół i klasztor wspaniały; co jednak Husyci i Szwedzi nie dokonali to dokonał dekret kasacyjny w r. 1784. — Oto klasztor i dobra niezmierne sprzedano na licytacyi, kupił zaś je baron Sina, i do roku 1883 był ich właścicielem.

Jednak nie myślcie, że na Morawie z Welebradem zaginął duch patryotyczny i poczucie religijne — nie! — Poczciwi Morawianie wśród narodów Słowiańskich zawsze odznaczali się wielką religijnością, ale był to naród zupełnie przez Niemców zawojowany, mało odporny, bo z natury dobry, uległy i nie mściwy (prawie odwrotnie do Czechów). Nic też dziwnego, że nie śmiał oczu

podnieść na swoją świętość — dopiero w r. 1862 powstaje pierwszy społek: *„Mattici Velehradské“* — które postanowiło cały Welehrad odnowić i parafialny urząd zaprowadzić, a dobra od barona Sina kupić. Wkrótce, bo w r. 1883, towarzystwo katolickie dyecezyi ołomunieckiej pod protektoratem biskupa Fürstenberga rzeczywiście całe dobra z składek odkupiło, a w r. 1890 na życzenie kardynała sprowadzono 60 Jezuitów i tym oddano Kościół, urząd parafialny i cały klasztór; ich tedy zadaniem jest misye urządzać i cały lud morawski oświecać i świetność Welehradu do pierwszych czasów przywrócić; za co Bogu dzięki! Tę cudną świątynię zrestaurowaną, będącą żywą księgą dziejów Welehradu, w krótkości wam opiszę.

Jak powiedzieliśmy, kościół Welehradzki sam za siebie mówi, czem był dla Morawy; oto pod wielkim ołtarzem widzimy grupę z 3 obrazów, na pierwszym Cyryl żegna się z Metodym w Rzymie i tam umiera w r. 869 mówiąc te ostatnie słowa: *„Bracie Metody nieopuszczaj dobrych Morawian“*; drugi obraz przedstawia, jak Metody żegna się z Morawianami idąc na dalszą misyę w r. 885, przeczuwając śmierć swoją, trzeci obraz okazuje nam, jak papież Hadryan wkłada paliusz arcybiskupi na Metodego r. 868 i tak zostaje pierwszym arcybiskupem Słowian. Sam zaś ołtarz wielki jest zupełnie nowy w stylu romańskim z marmuru białego, zielonego i bogatych mozaik złotych, dzieło Steinhubera w Rzymie, sprawiony kosztem arcybiskupa ołomunieckiego Fürstenberga za cenę 36000 złr; świadczy to pochlebnie, jak arcybiskup rodowity Niemiec wysoko cenił tę kolebkę Słowian, święty Welehrad.

Następnie w nawie krzyżowej stoją 2 wielkie z marmuru figury Piotra i Pawła św., na znak, że kościół ten jest wiernym Rzymowi a pod biskupim baldachimem na stole stoji wspaniały obraz Cyryla i Metodego, dar Matejki z r. 1885 na znak hołdu i wdzięczności Polaków dla apostolskiej pracy tych świętych. W kaplicy królewskiej jest grobowiec Swiętopełka, książęcia Morawskiego. W osobnej kaplicy spoczywają relikwie św. Klemensa, które ci dwaj święci znaleźli na swej misyi nad Czarnem morzem, głosząc Ewangelię tamże. Z rzędu idzie kaplica Metodego, w niej historyczne obrazy, jako to: obraz przedstawiający, jak Metody chciał potajemnie uwieść ciało św. Cyryla z Rzymu do Welehradu, a Cyryl podnosi rękę martwą ku Rzymowi, że chce tam zostać, na dowód, aby Słowianie ciągli do Rzymu, bo tam ich głowa; inny obraz pokazuje, jak Świętopłuk II kończy życie na pokucie w klasztorze w Nitrze na Słowakach a z nim rozpada się królestwo Morawskie około r. 900.

W kaplicy św. Wacława podziwiamy męczeńską śmierć jego z ręki brata Bolesława, króla czeskiego r. 935; pojedynek tegoż Wacława z wojewodą Radzisławem, który widząc krzyż nad głową swego przeciwnika i anioła broniącego go, przystępuje do zgody. Nie zapomniano tu o Borzywoju, pierwszym królu czeskim, którego chrzcił św. Cyryl; nawet Jadwiga, królowa Ślązka, żona Henryka I, który padł w obronie wiary przeciw Tatarom pod Lignicą r. 1228, ma swoją historyę, jak zakłada klasztor w Trzebnicy. Na sklepieniu kościoła jest przedstawiona smutna historya walki Taborytów, wśród której podjudzeni chłopi z Nedokonic napadają Welehrad i na posadzce w kościele palą ciała zakonników i ich opata Jana r. 1421.

Słowem od roku 1885 świątynia ta olbrzymia, pełna pamiątek z dawnych czasów w całej piękności okazale dziś się przedstawia, dzięki towarzystwu Cyrylo-Metodejskiemu, które zbiera składki po całej Morawie, aby jeszcze 2 wieże do pierwotnej wysokości podnieść i ukoronować swe dzieło. Nic też dziwnego, że w r. 1855 na pamiątkę 1000 letniej śmierci Metodego Welehrad pokazał się w całej świetności, a z całej Słowiańszczyzny liczono ludu na milion podczas tej uroczystości; wtedy to i Polacy dobrze zaznaczyli swoją bytność ofiarując drogocenne sztandary: nader kosztowną chorągiew z Wielkopolski, na której znajduje się na jednej stronie Matka Boska Częstochowska, a na drugiej orzeł polski wyjęty z proporca wojennego z przed 300 laty i prześlicznie zrestaurowany, drugą chorągiew z Prus zachodnich również drogocenną.

Welehrad jest więc kolebką Słowiańszczyzny, tam tli zawsze ogień świętej wiary rzymsko-katolickiej, — tam Cyryl i Metody mieli swoją siedzibę i wskazali Słowianom t. j. Morawianom, Czechom i Polakom, gdzie jest wiara św. i tej wiary św. byli wyznawcami, słowem na Welehradzie od r. 863 idea welehradzka swój początek wzięła, o niej tedy w następnej części pomówimy.

Ks. Fr. Zadecki.



Poezya górnoślązka.

Skreślił

Bronisław Koraszewski.

IV.

W poprzednim numerze „Pracy“ wspomniałem krótko o poemacie ś. p. księdza Bonczka „Stary Kościół Miechowski“. Drugim większym i obszerniejszym utworem tegoż poety jest poemat *„Góra Chełmska“* (czyli św. Anna z klasztorem Ojców Franciszkanów na górze położonej pod Leśnicą na Górnym Ślązku).

Poemat ten może nie ze wszystkiem dorównywa pierwszemu, wszelako zawiera w sobie wiele podniosłych ustępów, świadczących o patryotycznym duchu poety. Zaraz na początku można to stwierdzić, czytając wstęp:

Góro Chełmska, piastowskich ziem stróżu wieczysty,
Czy cię strasznej powodzi grom, jak w płaszcz piaszczysty
Odzianą, w dzień potopu, urwawszy od skały
Gór Olbrzymich aż krańce grzesznej ziemi drżały,
Zapędził w te płaszczyzny, aby z twej podstawy
Wypatrzył Chrobry drogę do Niemiec, do sławy?
Czy ogień, uwięziony we wnętrznościach ziemi,
Szukający swobody, siły piekielnemi
Wysadził twe bażałty aże pod obłoki?
Abyś dumnie patrzała na okręg głęboki?
Czy cię woda wylęgła, czy ognie przedwieczne:
Góro — terażeś święte miejsce i bezpieczne!
Boć to Michał Archanioł po zwycięzkim boju
Z szatanem, na zadatek wiecznego pokoju,
Na wysokim twym szczycie hełm rycerski złożył,
Nań patrząc wyje piekło, świat w ufności ożył.
— — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — —
Tu ma Ślązk swoją Wandę, tu swój Wawel święty;
A choć w boju żelazny, choć w trudach niezgięty,
Tu kornie bije czołem, pomny, że pokorze
I szczerej skrusze Bóg sam oprzeć się nie może.
— — — — — — — — — — —
Póki step ukraiński rzewne dumki stroi,
Póki się wolnej Polski car moskiewski boi,
Póki Wisła dziewicza do Bałtyku łona
Spieszy, mężnego ludu wdzięcznością pieszczona,
Póki Królowa Polski z Ostrobramskiej wieży
Litwie, a Jasna Góra Lachom w pomoc bieży:
Dotąd też święta Anna z Chełmskiej Góry szczytu
Ślązku pobłogosławi, i błogiego bytu
Będzie mu upewnieniem! Skoro zaś te skały
Stałe jak stal i szare (boć świat ten niestały)
Runęłyby w przepaści, albo by się w inne
Przeniosły równie kraju, wdzięczniejsze, gościnne,
Już też koniec nastanie tej tu doczesności:
Tedy dopiero umrze w męzkiej dojrzałości
Plemię Piastów, Jagiełłów, lecz w niebianów rzędzie
Z palmą między pierwszymi na wieki zasiędzie.

Na innem miejscu bardzo zręcznie charakteryzuje poeta różne narzecza, jakiemi mówi lud przybywający w procesyach na Górę św. Anny. Rozmowę z ludem prowadzi Ojciec Gwardyan:

„Zkądżeście, mój kochanku?“ „Tutejszy od Pszczyny!“
„A czy tam wszyscy tacy jak Wy, wiary syny?“
Z grzecznym ukłonem mówi: „Katolickie sioła —
Chcą nas jakoś przerobić, nie uda się zgoła!“
„A Wy zkąd?“ pyta Ojciec człeka szczuplejszego —
„Paterku, od Hulczyna ołomunieckiego!“
„A trzeci zkąd?“ „A mychmy łod Łopolol (od Opola) miasta“.
Rozmowność gwardyana z zapytaniem wzrasta —
„Co powiat, to narzecze!“ Takie mając zdanie
Z jakąś miłą chciwością powtarza pytanie,
Mówiąc: „A wy?“ „A ja baj jestem baj z Głogówka,
A przyszło nos baj wielu w ta święto wędrówka!“

„Dobrze tak moje dzieci! Wy zkąd, przyjacielu?“
„Joch psysoł łod Łolesna, a nos tys tu wielu.“
„Dalej Wy!“ „Ja przywiódłem wielkom kompanijem
Z Bytomia górniczego, a podwiele żyjom
Powiodem jóm, tym tylko w życiu mom uciechem!“
Pięknie, dobrze! rzekł z miłym gwardyan uśmiechem;
„Jakoż Wy?“ „Nos tu bandzie choć piańć set z Wieszowy
Nie rachując ercpristra, ale biołegłowy.“ —
„Cudna, piękna rachuba!“ śmieje się księżyna·
„Czo se lubi, fararu? mymy od Cieszyna!“
„Ci mna znás dieta moje? poruczam se Panu!“
„To Góral od Tręcina? Aże tam ztąd?„ „Anu!“
„A gá clowek smrtedlny, vslys mnie hospodine!“
Jakaż w słowach muzyka — toć głosy jedzine!
Dalszych pytań nie czyni, jemu w sercu miło —
To dziwne rozmawianie tak go rozrzewniło,
Iż rozdawał swe dary a myślał o niebie:
„Jakoż tam pięknie będzie, o Matko, u Ciebie,
Kiedy przez bram dwanaście z wszystkich części świata
Popłyną procesyją bez względu na lata,
Na stan, na płeć, na rysy i na barwę twarzy
Z wszech narodów, języków, dzieci, mężni, starzy,
Choć w rozlicznych narzeczach, ale w jednym znaku
Przyłączą się do Niebian bez granic orszaku,
By wielbić aż na wieki w cudnej procesyi
Wielmożne sprawy boskie i dobroć Maryi. —
O wieczna Kalwaryjo, mnogości w jedności,
Ziemio! święć twe języki, dar boskiej mądrości!“

Nie mogę niestety łaskawego czytelnika w obszerniejszych rozmiarach zapoznać z poematem, a ubolewam tem więcej, że dzieło to już od kilku lat zupełnie jest wyczerpane. Może Wydawnictwo „Katolika“ bytomskiego, które jest najzamożniejsze ze wszystkich wydawnictw śląskich, obdarzy nas w niedalekiej przyszłości ponownem wydaniem. Przysłużyłoby się społeczeństwu, a mianowicie ludowi.

V.

„Ale są jeszcze piosenki inne!“... Są to pieśni ludu naszego, które w tradycyi przechowują się z pokolenia na pokolenie, a które tchną rzewnym duchem miłości i tęsknoty, smutku i cierpienia, lub też szczęściem, weselem i swobodą. Codzienne doświadczenia, nadzieje, jakiemi człowiek żyje i oddycha, zawody, jakich tak często w życiu doznaje, zgryzoty, które go bezustannie trapią, odbijają się w niezliczonych pieśniach ludu śląskiego.

Najliczniejsze oczywiście są piosnki miłosne i weselne, pełne uczucia i romantyzmu:

O Boże, mój Boże,
Cóż to za rodzice,
Kiej oni mnie pojąć
Nie dają dziewice!
Ubogiej mi bronią,
Bogata mnie nie chce.
Oj, na to wspomnicie,
Wy moje rodzice,
Że was Pan Bóg skarze,
Da złego po parze.
Wyście się pobrali,
Boście się kochali,
A wy mnie bronicie;
Coście za rodzice!

(Z powiatu Lublinieckiego)

albo (z pow. Rybnickiego):

Tam w tej dolinie blizko buczyny,
Gdzie się drożyca rozdziela,
Stoi mogiła, wedle mogiły
Krzyż z obrazem Zbawiciela.

Pod krzyżem klęczy śliczna dziewica,
Jest szatą białą odziana,
Z jej bystrych oczu błyszczy źrzenica,
Łzy przerywają i łkania.

Czegoż to placzesz, dziewico miła,
Czy ojca, czy matki utratę?
Kogóż to kryje świeża mogiła,
Czy ojca, matkę lub brata?

Ani mi ojciec zszedł z świata tego,
Ani mi bracia umarli,
Tylko kochanka serca mojego
W tej to mogile zawarli.

Odtąd czy rano, odtąd czy wieczór
Przychodzę płakać mej straty,
Rozmawiam z duchem kochanka mego
I łzami polewam kwiaty.
— — — — — — — —

albo (z powiatu Opolskiego):

O chmury, chmury i błyskawice,
Pocieszcie wy mię w mojej tęsknicy!
Jaki ja wtenczas frasunek miała,
Gdym się z miluśkiem rozestać musiała!
Tam my sie zeszli pod bożą mękę,
A na rozestanie dali sobie rękę;
Ręce sobie dali, rzewnie płakali,
I że się z tej szczerej miłości rozestać mieli.
— — — — — — — — — — — —

Na wesołach wiejskich, na których osobiście byłem, słyszałem bardzo wiele piosnek tak przez dziewczyny, jak przez młodzieńców śpiewanych, z których zapamiętałem niektóre urywki:

Mój wianeczku cyprysowy
Owijej się koło głowy.
Owijej się kołem
Nad tem mojem smutnem czołem.

Mój wianeczku z barwineczku
Chowałam cię w półskrzyneczku,
Chowałam cię w nowej skrzyni,
Ale mi cię chłopcy wzięli...
— — — — — — — — —

W czarnym lesie ptaszek siada
Wysłuchuje, kto co gada,
I wysłuchał dwoje ludzi,
Obaj byli bardzo młodzi...
— — — — — — — — —

Szeroki świat, szeroki
Do mojej kochanki daleki
Osiodłajcie mi konia
Pojadę ja se po nia...
— — — — — —

Mamulinko, kupcie konia,
Bo nie będę siedzieć doma,
Muszę jechać na zalety,
Bo mi tęskno bez kobiety.

Pojadę ja w cudze strony,
Będę sobie szukał żony,
Mój koniczku siemieniaty,
Nie nieśże mnie do bogatej.
Ale mię wiedź do ubogiej,
Do dziewczyny do chędogiej...
— — — — — — — —

Wreszcie:

O siadaj, siadaj
Kochanie moje!
Nie pomoże tobie
Plakanie twoje.
Miły Boże, mocny Boże
Już koniczki są na wozie,
Zaprzągane są.

Jeszcze ja na wóz
Nie będę siadała,
Boch jeszcze ojcu
Nie dziękowała.

Dziękuje wam, panie ojcze,
Wychowaliście mię dobrze,
Już nie będziecie...

Oj siadaj, siadaj
i t. d. jak pierwsza zwrotka.

Jeszcze ja na wóz
Nie będę siadała,
Boch jeszcze matce
Nie dziękowała.

Dziękuję wam, pani matko
Wychowaliście mię gładko,
Już nie będziecie...

O siadaj, siadaj i t. d.

(Dokończenie nastąpi.)



Żydzi w Galicyi.

Niewiem, czy jest dla Galicyi kwestya ważniejsza, jak kwestya żydowska; aby się o tem przekonać, dość zrobić półgodzinny spacer po śródmieściu Lwowa, rzucić okiem na stragany na rynku i przekupki, wielojęzycznym dyalektem apostrofujące przechodnia — dość jest spojrzeć na szereg ponalepianych na domach i płotach ogłoszeń w żydowskim języku — ogłoszeń o tranzakcyach handlowych, o zgonach, nawet o przedstawieniach teatralnych i zebraniach zawodowych; nie potrzeba sięgać aż do Brodów lub Rzeszowa, o których twierdzi statystyka wyborcza, że żydzi tam są w większości, aby zauważyć, że żywioł żydowski w Galicyi czuje się najzupełniej u siebie. A co ważniejsza, że — jeśli się tak czuje — to ma po za sobą widome uzasadnienie faktyczne w postaci swej liczby, swych wpływów, swej organizacyi w handlu i w przemyśle, swego, że tak powiem, odrębnego uspołecznienia, dzięki któremu setki żydów w Galicyi rok rocznie umiera, w ciągu całego swego życia nie nabywszy tyle znajomości języka polskiego, aby się módz od biedy nim rozmówić.

Lecz dla tego właśnie, że kwestya żydowska dla Galicyi jest tak ważną, niełatwem jest jej osądzenie.

Gdyby kwestya ta była tak jasną, jak ją przedstawia apodyktyczny antysemityzm — nic by nie pozostawało, jak tylko dążyć

do wyłączenia z organizmu społecznego tego nieproszonego gościa. Lecz stosunki istniejące nas uczą, że żywioł ten odgrywa w życiu i w organizacyi społecznej dość znaczną i ważną rolę. Jakże możliwem jest z maszyneryi społecznej wyjąć pewną ilość kółek i chcieć, aby maszyna nietylko szła dalej, ale nadto, aby pozostałe kółka nie powyskakiwały ze swych trybów?

Jeśliby zaś kwestyę dało się rozwiązać przez semicką zasadę tolerancyi — to niechybne rozwiązanie jej wyglądałoby tak, że po latach stu wśród żydowskiej Galicyi istniałaby „kwestya polska“ — tak jak dziś istnieje „żydowska“ wśród polskiego społeczeństwa w Galicyi. Cała rzecz polega na tem, że w Galicyi zupełnie inaczej przedstawia się stosunek sił żywiołów, w grę wchodzących, niż gdzieindziej. Gdzieindziej żywioł żydowski nie jest tak silny, bo żywioł polski nie jest tak słaby, aby pozwolić elementowi obcemu tak wpleść się we wszystkie kółka i kółeczka maszyneryi społecznej, żeby najdrobniejsza niemal funkcya tej maszyneryi nie mogła się obejść bez współdziałania żydów. W Galicyi zaś stan taki jest faktem. Nie można zjeść bułki, kawałka mięsa, wypić kieliszka wina, ubrać się i kupić bagateli jakiej — aby z tego tytułu nie wejść w tysiączne koneksye z żydami: albo żyd bułkę piekł, albo sprzedał mąkę na nią, albo zbożem handlował i był właścicielem młyna, gdzie zboże zostało na mąkę zmielone, ale w tym procesie ekonomicznej produkcyi i konsumcyi — jako pośredniczący czynnik — być gdzieś musiał.

Gdyby się nagle żydzi w Galicyi zapadli pod ziemię od razu — nie wiem, czybyśmy nie byli zmuszeni dopraszać się ich powrotu i jeszcze im płacić za to, tak jak się działo z owemi wróblami, które, jak podanie niesie, wytępić kazał król jakiś, a potem kłopot miał z tem, jakby je dostać napowrót. Porównanie to byłoby zupełnie trafnem, gdyby nie to, że wróble spełniają dla gospodarstwa wiejskiego pewnego rodzaju misyę użyteczną, a misyi tej żydzi wśród obcych im społeczeństw nie spełniają. Przynajmniej teoretycznie nie. W praktyce zastępują oni tę misyę swemi nabytemi lub przejętemi funkcyami społecznemi, które utrudniają lub wprost uniemożliwiają rozstanie się tych społeczeństw z nimi.

Teoretycznie wziąwszy, kwestya żydowska przedstawia się we wszystkich społeczeństwach, nie tylko w naszem, jednakowo. Jest to kwestya żywiołu obcego, który w jakibądź sposób znalazł się w organiźmie. Gdy ziarnko piasku dostanie się w otwartą ranę i tam osiędzie, organizm czyni usiłowania, aby zapomocą wydzielania płynu z rany obce osiadłe tam ciało wyrzucić. W innych wypadkach organizm ten tak otacza i zasklepia w sobie nowego przybysza, że tenże przeszedłszy w stan pewnego zwapnienia lub skamienienia, stanowi odtąd martwą cząstkę istoty, która go zasymilowała. Ale niema wypadku, aby organizm żywy, w którym zagnieździ się obca istota, mógł, nie narażając swej egzystencyi, znieść w sobie i tolerować jej własne, odrębne życie: albo te obce ciało starać się będzie usunąć, albo je zasymiluje.

Ten proces fizyologiczny znajduje zupełną analogię w stosunkach społecznych, a jak dążeń organizmu fizyologicznego, zmierzających do usunięcia lub zasymilowania obcego, w nim gnieżdzącego się przybysza, nie można nazwać cnotliwemi, lub grzesznemi, lecz tylko naturalnemi, tak samo za naturalne uznać należy te dążenia organizmu społecznego, które do tego samego celu zmierzają. Są one naturalne — nic więcej. Dopóki istniejącej obecnie organizacyi narodowościowo - społecznej nie zastąpi jakaś inna organtzacya, względem której żydzi nie będą ciałem obcem, dopóty trwać muszą te dążenia. To samo, co czyni całe społeczeństwo wobec obcego żywiołu, wciskającego się w zakres jego własności, to samo czyni i każda klasa społeczna i każda korporacya wobec żywiołów, które uważa za obce. Nie chodzi o to, czy ten porządek rzeczy jest wiecznym, czy nie ma lepszych od niego, lecz skoro przyjmujemy porządek ten, przyjąć musimy jego konsekwencye.

Ale w praktycznem ich zastosowaniu spostrzegamy rozmaite uchylenia od reguły, którą uznaliśmy za naturalną. Są wypadki, że obce ciało z żywego organizmu usunięte być może tylko z narażeniem dalszego istnienia tegoż. Tak lekarz nieraz wzbrania się wyjąć ranionemu kulę, jeśli wyjęcie zagrażaćby miało jego życiu i zdrowiu. Z dwojga złego wybiera się mniejsze — ta maksyma filozofii życiowej i tu znajduje swe zastosowanie.

Galicya jest właśnie w położeniu człowieka, który wykonania operacyi usunięcia obcego ciała by nie zniósł, a którego organizm za słaby jest, aby je zasymilować. Zresztą — wątpię, czy jakikolwiek naród, jakiekolwiek plemię oporniejszem jest do asymilacyi, niż żydzi. Odrębność religijna stanowi dla asymilacyi wielkich pierwszy nieprzezwyciężony szkopuł. Powtóre w Galicyi o asymilacyi nie może być mowy już dla tego samego, że żywioł polski jest za słaby w stosunku do żydowskiego.

Jakież więc rozwiązanie kwestyi?

Jedynie czas i wypadki polityczne dać nam mogą odpowiedź na to pytanie.

Czas — który daje możność żywiołowi polskiemu dorabiać się społecznie, zagarniać w swe ręce powoli gałęź po gałęzi życia ekonomicznego i dążyć do przechylenia szali na swą stronę. Wzmocnienie żywiołu polskiego przyjść może z wewnątrz.

Lecz może ono przyjść i z zewnątrz. Dziś przewidzieć się nie da, w jaki sposób rozwiązane będą zawikłane stosunki narodowościowe w Austryi — a od naszych wpływów bodaj najmniej to zawisło. Te wypadki polityczne mogą Galicyę przydzielić, lub do Galicyi przydzielić taką dzielnicę Polski, połączenie się z którą wzmocniłoby tak społeczeństwo polskie w Galicyi, że wyparcie żydów z zajmowanych przez nich pozycyi wyłoniłoby się jako prosta konsekwencya faktu.

Kazimierz Radwan.



Wojna!

Wieść o niej z piorunową szybkością iskry elektrycznej obiegła świat cały, budząc wszędzie silne wzruszenie. Jakiego rodzaju jest ono? Czy przyczyną jego jest trwoga o naruszenie pokoju powszechnego? Czy w tej walce, jaka się już rozpoczęła na krańcach „czarnego lądu“, zaangażowane są interesy poszczególnych narodów? Czy wątpliwym jest wreszcie wynik tych zapasów, które tem samem streszczać musiałyby w sobie wszelkie cechy rycerskiego turnieju dwóch równych potęg militarnych, walczących o chwałę swego oręża i znaczenie polityczne?... Bynajmniej, żadnej z tych przyczyn niema...

Na szalach wielkiej polityki świata wojna ta nie zaważy wiele. Interesy poszczególnych państw i ich rządów nie ucierpią na tym lub owym wyniku zbrojnego konfliktu. Nie streszcza on nawet w sobie cech turnieju wojennego, do którego występują nie siły równe, lecz najpotężniejsza z potęg państwowych na świecie z jednej strony, a z drugiej — garść odważnych obywateli puszcz afrykańskich, które oni wysiłkiem swej pracy i energii podnieśli do znaczenia organizmu państwowego.

Oto przyczyna sympatyi, jaka zbudzić się musiała w sercu każdego, przed tem bohaterskiem zuchwalstwem Boerów, którzy śmiało stawili czoło chciwym Anglikom, pragnącym każdą piędź ziemi na świecie poddać swym wpływom i ujarzmić.

W tej sympatyi powszechnej mieści się zarazem uwielbienie dla owej cnoty obywatelskiej dawnych Rzymian, która ze starej Europy znikła, żeby się odrodzić na krańcach dzikich do niedawna puszcz Afrykańskich. Niewątpliwą więc jest rzeczą, że sympatya ta ogólna jest jednym z pierwszych zwiastunów słusznego oburzenia przeciwko przemocy i rabunkowym, drapieżnym instynktom, dominującym w polityce angielskiej.

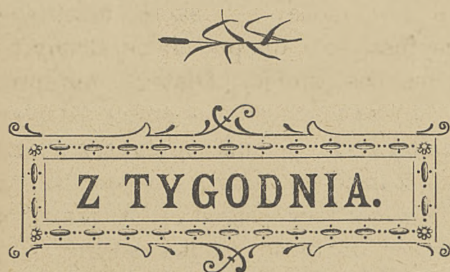
Rzecz dziwna jednak: powszechne te sympatye nie wyszły z granic platonizmu, nie wywołały odruchów energii i czynu, które mogłyby stać się świadectwem, że poczucie sprawiedliwości w ludzkości już dojrzało i że z niem liczyć się musi każde, nawet najpotężniejsze mocarstwo.

A zdawało się, że taka burza zerwać by się powinna szczególniej w porze obecnej, gdy są zbyt świeże jeszcze wrażenia konferencyi pokojowej w Haadze, której echa niezdołały chyba jeszcze przebrzmieć w gabinetach wielkich polityków świata.

Niestety! stało się inaczej. Wojna się rozpoczęła. Jest ona jednym więcej dowodem, że między teoryą a praktyką, między projektem a czynem, między porywem serca i egoizmem drapieżnym leży dotąd cała przepaść...

Oby wyrównać się ona mogła i zniknąć w wieku XX!

N. P.



Przypatrzmy się u samego progu wojny anglo-transwaalskiej, która w następstwach swoich prawdopodobnie okaże się jedną z doniośiejszych w historyi, mężom stojącym obecnie na czele małej, ale bohaterskiej rzeczypospolitej Boerów holenderskich (bur, bauer, chłop).

Stefan Jan Paweł Krüger jest więcej, niż typem zwyczajnego Boera. Jest na to za roztropny, za szczery, za dumny. Stary to człowiek. W przyszłym tygodniu ukończy lat 75. Fizycznie jest dotąd nienadszarpnięty, tylko wzrok ma krótki, co zmusza go do noszenia okularów o niezwykle dużych szkłach. Jest on nieubłaganym konserwatystą, najmniejsza zmiana w ustroju rzeczy lub pojęć wywołuje z ust jego cierpkie utyskiwania na zgubny wpływ zagranicy. Nie nienawidzi on „uitlanderów“, jak inni Boerowie; boi się raczej współzawodnictwa ich przedsiębiorczości z apatyczną naturą holendrów.

Krüger jest wyznania luterskiego „o twardej czaszce“, jak powiada „Daily Mail“ w swej charakterystyce prezydenta Transwaalu: wierzy on święcie w to, że Boerowie są wybranym narodem Pana i kwiatem człowieczeństwa.

Pobiera on pensyi 7000 funtów sterlingów rocznie, a oprócz tego 300 funt. na cele reprezentacyi, czyli na tak zwaną „kawę“. Nie przyjmuje wszakże nigdy nikogo i sam żyje z owych trzystu funtów, które mu wystarczają. Zresztą jednak oprócz pensyi 7000 zyskuje na zręcznych a godziwych spekulacyach rocznie około 10,000 funtów. Kiedy go pytano, dla czego nie uczestniczy w filantropii, zwłaszcza na rzecz uitlanderów, odpowiedział: *Nie, Allemagtig! die kerels is allemal ryk*; *hulle kan betaal.* (Nie, są wszyscy bogaci, mogą sami płacić.)

Jenerał Piet Joubert jest po Krügerze najwybitniejszą niewątpliwie osobistością wśród Boerów. Człowiek wielce roztropny i trafnie kalkulujący. Był kilkakrotnie w Anglii: może on jeden wie naprawdę, co dla Boerów znaczy wojna z potęgą angielską. Wielokrotnie już dowiódł swej waleczności: w naturze jego jest wszelako pewna kapryśność i dorywczość. Jego religijne przekonania są nieco luźniejsze: u twardych w wierze dogmatycznej współziomków uchodzi coś trochę za wolnomyśliciela. W wątpliwe przedsiębiorstwa finansowe nie wdawał sie nigdy. Na polu walki okazuje znamiona zimnej rozwagi i doskonałego znawstwa taktyki Boerów.

Sekretarz stanu rządu boerskiego, mr. Reitz, był dawniej prezydentem Oranja. Obecnie jest już bardzo starym i chorowitym w sposób już nieuleczalny. Według zapewnień ze źródeł angielskich, jest on woskiem w rękach Krügera. Robi co ten każe, podpisuje dokumenty bez czytania. Nie jest bogatym, jak inni na tak wysokiem stanowisku, gdyż zapóźno przybył do Transwaalu.

Na teatrze wojny akcya rozwija się dość szybko. Orientować się w niej trudno, wiadomości bowiem przychodzą niepewne, z powodu cenzury angielskiej, większość zaś informacyi idzie na Kapstad, i Londyn do Europy.*)

Boerowie, chcąc odzyskać czas napróżno stracony na rokowaniach z Anglią, po upływie terminu, naznaczonego w *ultimatum* rozpoczęli kroki wojenne — w dwóch frontach równocześnie wkraczając z jednej strony do prowincyi angielskiej *Natalu*, z drugiej zaś strony, napadając na angielski pociąg, który wiózł zapasy amunicyi oraz armaty. Napad ten wykonany był w połowie tego miesiąca. Boerowie podkręcali szyny z toru kolejowego i w ten sposób sprowadzili wykolejenie się pociągu, gdy zaś się wykoleił, kilkunastu strzałami zmusili załogę angielską do poddania się. Dziś więc te armaty angielskie walczyć będą przeciw Anglikom. W dniu 18 bm. nastąpiło spotkanie obydwu armii nieprzyjacielskich. Starło się wtedy pod Mafekingiem, około 5—6 tysięcy Boerów z równą liczbą wojsk angielskich. Po raz pierwszy w wojnie białych z białymi biorą udział teraz murzyni. Plemiona afrykańskie oświadczyły się przeciw Anglikom i pomagają Boerom.

Anglia powołała już pod broń milicyę, co w Londynie wywołało wzburzenie, choć chyba nikt nie wątpi, że gdyby nawet Anglicy początkowo przegrali jedną lub drugą potyczkę, a nawet bitwę, zwycięztwo ostatecznie będzie ich udziałem. A jednakże sympatya całej Europy staje po stronie Boerów, których nie trwoży prawdopodobny wynik starcia, lecz którzy śmiało patrzą w oczy śmierci, w przekonaniu, że walczą za swoje słuszne prawa, które Anglia chce podeptać. Prawdziwi to bohaterowie!...

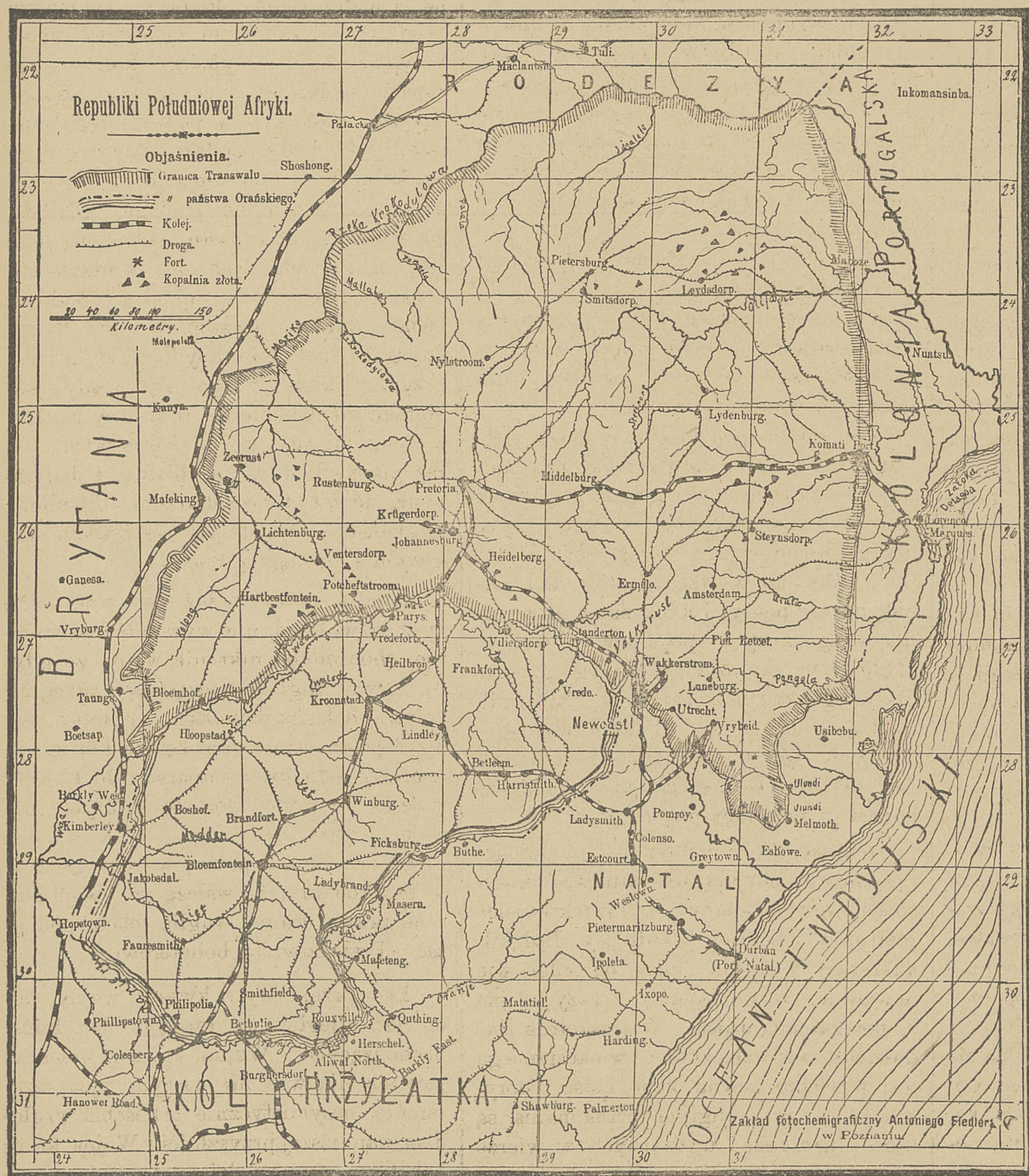
Lecz przejdźmy z kwestyi wojny, tak od nas odległej, do kwestyi nas bliżej obchodzących. Wojna, która z wzmagającą się siłą wre na naszym ojczystym terenie, pesymistycznie usposabia względem najbliższej przyszłości. Wojna, którą hakatyzm wypowiedział wszystkiemu, co polskie, przybiera dziś coraz poważniejsze rozmiary. Teroryzm hakatystyczny daje się zwłaszcza odczuwać w stosunkach prasowych. Ponieważ t. zw. środki kulturne, t. j. ekonomiczne, nie odpowiedziały ich oczekiwaniom, dążą oni do wywarcia za pomocą prasy i opinii publicznej takiej presyi na rząd, aby wyjątkowemi środkami polityczno-poli-

---

*) W dzisiejszym numerze zamieszczamy mapkę krajów afrykańskich, które toczą walkę z Anglią o niepodległość swoją. Numer ten prosimy sobie zachować, gdyż mapka ta ułatwi bardzo zrozumienie doniesień z pola walki, oraz śledzenie rozwoju i przebiegu wojny. — Przyp. Redakcyi.

cyjnemi starał się zwycięstwo na ich stronę przechylić.

Dwa żądania stawia teroryzm hakatystyczny; — przedewszystkiem żądają hakatyści rozwinięcia na większą skalę *kolonizacyi w ziemiach polskich* i to kolonizacyi przeprowadzonej z całym aparatem praw wyjątkowych, z *zakazem nabywania ziemi dla Polaków.* Dalej żądają hakatyści, aby zapomocą politycznego odsuwania praw Polakom konstytucyjnie



należnych, zmusić ludność polską do tłumnego wysiedlania się z obrębu Prus.

Miejmy nadzieję, że zaprowadzenie nawet takich środków do celu hakatystycznych marzeń nie doprowadzi. Lud polski, przywiązany do gleby ojców, coraz liczniej garnąć się będzie pod sztandar narodowy, a zanim dla hakatystów era upragniona zawita — zetrze ich dumne głowy w proch dłoń dalej sięgająca, niż ich zamiary — dłoń kierująca sprawiedliwością dziejów.

Zniesienie rozporządzeń językowych dla Czech i Morawy stało się obecnie faktem dokonanym. — Oficyalna „Wiener Zeitung“ ogłasza pod datą 17-go października, rozporządzenia ministeryalne, mocą których zniesione zostały reskrypty wydane swego czasu przez hr. Badeniego. Rozporządzenia opiewają przytem, że aż do czasu uchwalenia nowych rozporządzeń w drodze regulacyi parlamentarnej stosowane mają być te zasady i postanowienia, które dla obu krajów koronnych poprzednio były w użyciu.

Przewidzieć można było, że zniesienie równouprawnienia językowego w niczem się nie przyczyni do uregulowania zagmatwanych stosunków monarchii habsburskiej. — Aby się dowodnie o tem przekonać, dość przeczytać, co pisze organ strejkarza parlamentarnego Wolffa o sytuacyi obecnej. Pisze on: fakt ten nie kładzie kresu walce Niemców, lecz tylko jest dowodem, że trafną była owa taktyka, która miała na celu pokazać rządzącym sferom w Austryi, że Niemcom już przejadło się pozwalanie na wszystko. Dowodzi fakt ten również, że odpowiedzialność za całe zamięszanie wewnętrzne, którego widownią stała się w ostatnim czasie Austrya, spada nie na niemiecką opozycyę, lecz raczej na owych „mężów stanu“, którzy upierali się przy rozporządzeniach, a następnie i na te stronnictwa, które te ministerstwa popierały“.

Ten okrzyk tryumfu niemieckich obstrukcyonistów najlepszym powinien by być dowodem dla sfer w Austryi rządzących, iż ustępstwami wobec Niemców wogóle niczego dokonać nie można i że przechylenie szali wpływów na stronę niemiecką groźnego przełomu spraw narodowych w Austryi nie zażegna, lecz raczej go przyspieszy.

Wśród ogólnego zajęcia, jakie budzą wypadki afrykańskie, zapomniano na razie o toczącym się w Paryżu procesie przeciw garstce niezadowolnionej z panujących obecnie we Francyi stosunków. Ze względu na charakter ludu francuskiego, który lubi być świadkiem częstych zmian w systemie rządowym, przypuszczać należy, iż owa garstka jest niejako przedstawicielką większości narodu. Dlatego też rząd obecny stara się, aby proces ów miał jak najmniej rozgłosu. Zresztą coraz bardziej mnożą się manifestacye nieprzychylne względem obecnego prezydenta Loubeta. Dochodzi do tego, że nie może on wyjeżdżać na wyścigi w obawie jakiegoś skandalu. Bądź co bądź, dowodzi to, że Loubet nie cieszy się popularnością, a prezydent niepopularny, to istna klęska dla rządu.

Co zaś do oskarżonych, to przyznać trzeba, że zachowanie się ich do tego czasu jest godne uznania. Stojący na czele spisku, ulubiony w kraju poeta Déroulède, odpowiada: „nie będę się tłómaczył, bo i tak mnie skażecie.“ Śmiała odpowiedź; ale łatwo być śmiałym, gdy się wie, że nawet w razie skazania, nastąpi ułaskawienie. A inaczej być nie może: — skoro ułaskawiono Dreyfusa, to i dla przeciwnej strony trzeba też coś zrobić. Dlatego też proces Déroulède'a, chociaż w treści interesujący, nie budzi jednak ogólniejszego zajęcia. Zanim zaczął się akt pierwszy, już epilog wszyscy odgadli. W takich warunkach zarówno sztuka sceniczna, jak i sprawa polityczna — tracą na wartości.

K. O.

PRZEGLĄD PRASY.

Do szeregu grobów, kryjących zwłoki zasłużonych krajowi Polaków i Polek, przybyła jedna oto mogiła więcej: Izabelli z książąt Czartoryskich hr. Działyńskiej, właścicielki Gołuchowa. Dnia 9 i 10-go b. m. spoczęły Jej śmiertelne szczątki w grobowcu rodzinnym w Gołuchowie, na ziemi ojców, której przez cały ciąg swego życia wierną była córką.

Przytaczamy tu — za **„Wielkopolaninem“** słów kilka działalności społecznej Zmarłej poświęconych:

„Pani Działyńska kładła w swoje zbiory duszę swoją. Te resztki zamarłych wieków i przebrzmiałych cywilizacyi zbierała, aby we własnym narodzie budzić zmysł artystyczny, rozwijać poczucie piękna, rozpalać iskrę cywilizacyi i kultury. Ona w tem przewodnictwie kulturalnem widziała zadanie arystokracyi i, ile sił starczyło, starała się temu zadaniu zadość uczynić. — Tej wielkiej miłości piękna i miłości Ojczyzny zawdzięcza powstanie swoje muzeum Gołuchowskie, najciekawsze i najbogatsze ze wszystkich w W. Ks. Poznańskiem się znajdujących. Za ramę zaś tym bogatym zbiorom służy starożytny zamek Leszczyńskich, dźwignięty z ruin przez Zmarłą. Jest to nie tylko ciekawy zabytek stylu odrodzenia na ziemi polskiej, lecz dziś, po odnowieniu, prawdziwie architekturalne cacko, świadczące swemi malaturami, rzeźbami i robotami snycerskiemi o artyzmie swej odnowicielki.

„Tyle się u nas mówi i pisze o surowości naszego ludu, nieudolności naszych rzemieślników. Pani Działyńska zadała kłam tym twierdzeniom czynem. Swoi i obcy, zwiedzając zamek gołuchowski, przekonać się mogą o zdolnościach polskiego rzemieślnika, którego wielka pani artystka brała od szpadla i wideł i z tym samym szlachetnym uporem, z którym gromadziła swe artystyczne skarby, przekształciła, nie zrażając się chwilowemi trudnościami, na dzielnego pracownika, zdolnego wykonywać prace, graniczące z artyzmem. Ten wspaniały zamek, te zbiory gołuchowskie, świadczące o polskiej kulturze, świadectwo wystawione ludowi polskiemu, który powołała do wykonywania najmisterniejszych robót, stwierdzając, że mniej wartościowym nie jest, jednają trwałą cześć Jej pamięci.“

Prawo postępu niema, jak się zdaje, zastosowania w państwie pruskiem. Co parę dni, co parę tygodni dochodzi nas bowiem z gazet wieść jakaś znamionująca na punkcie stosunków narodowościowych cofanie się ku barbarzyńskim czasom. Nie może to w końcu pozostać bez wpływu na kierunek ducha i usposobienie ludzkości, a dodawać chyba byłoby zbytecznem, że wpływ ten jest jak najgorszy. Cóż bowiem ma sobie pomyśleć lud o fakcie takim, który jak podaje **„Dziennik Slązki“**, wydarzył się w Nowy Rok w Towarzystwie św. Aloizego w Bytomiu.

„Na stole stał biust Mickiewicza. Gdy ujrzał go sierżant policyjny Kudelko, zażądał usunięcia biustu, ponieważ był tego zdania, że chodzi tu o „szerzenie polskości“. To się też stało. Gdy jednak później prezes zebrania, p. Nowak, miał mieć wykład o Mickiewiczu, kazał biust przynieść i postawić go na stół, ponieważ biust był mu potrzebny do jego wykładu. Urzędnik policyjny Kudelko rozwiązał z powodu tego zebranie. Prezes Towarzystwa wysłał przeciwko temu zażalenie, uzasadniając je tem, że urzędnik nie miał prawa do rozwiązania zebrania, ponieważ chodziło tutaj tylko o uczczenie największego poety polskiego. Na to władza odnośna odparła, że „Towarzystwo pielęgnuje polskość, czego dowodzi już skład zarządu. W zarządzie pracają sami tylko Polacy“. Z tej już przyczyny zażalenie nie może być uwzględnione. — Zarząd nie zadowolił się tą odpowiedzią i udał się do wydziału obwodowego w Opolu, ale wydział ten, jak dziś dowiadujemy się z gazet niemieckich, zawyrokował na niekorzyść Towarzystwa.“

Fakt powyższy jest tak wymowny, że komentarzy żadnych nie potrzebuje. Natomiast na jedno tylko uwagę zwrócić wypada: oto że pisma polskie są w stanie zaledwie maleńką część faktów, jak powyższy, na jawnię publiczną wydobyć i szerszemu ogółowi do wiadomości udzielić. Ileż to faktów takich ginie w morzu niepamięci, a nikt się nawet nie uskarży o nie!

Na łamach „Pracy“ spotykali się czytelnicy niejednokrotnie z fachowemi i wyczerpującemi artykułami o parcelacyi, jej ogromnym wpływie na dobrobyt naszego społeczeństwa i jej znaczeniu społecznem. Ruch parcelacyjny dość znaczny w Poznańskiem jak i w Prusach powszechny znalazł oddźwięk. Lecz o ile wśród społeczeństwa szerzyło się pojęcie i zrozumienie dobroczynnych wyników parcelacyi, w równej mierze rosło niezadowolenie Niemców, argusowym wzrokiem ścigających każdy objaw, mogący oznaczać punkt wyjścia i ratunek dla zagrożonego w swej egzystencyi społeczeństwa polskiego.

Ilustruje wymownie te uczucia poniższa korespondencya do **„Gazety Gdańskiej“**.

„*Wąbrzeźno.* Jak wiadomo, zamierza p. Prabucki rozparcelować majątek swój Nowąwieś pod Golubiem. O tej parcelacyi donosiły kilkakrotnie gazety polskie. Pan landrat wąbrzeski — jak pisze „Geselligierek“ — ogłasza, że dotąd wydział powiatowy nie udzielił pozwolenia na utworzenie nowej osady, więc też nie będzie można stawiać budynków na owych parcelach, które mają być rozsprzedane.

„Wygląda to tak, jakby jaka przestroga, aby nikt nie nabywał owych parcel. Wezwanie do kupowania parcel zwrócone było do Polaków, a więc i owa przestroga p. landrata zwraca się do Polaków. Przestroga ta jednak bardzo jest dziwną, a to z dwóch przyczyn.

„Oto najprzód mógłby ktoś, czytając tę przestrogę, sądzić, że p. landrat wąbrzeski już naprzód wie, że pozwolenie na utworzenie owej rzekomej nowej osady nie zostanie udzielonem, choć dotąd o to pozwolenie nikt jeszcze nie prosił.

„Po drugie zaś, wedle najnowszego orzeczenia najwyższego sądu administracyjnego parcelacya nie może być uważaną za tworzenie nowej osady, a więc na stawianie budynków wcale nie potrzeba pozwolenia wydziału powiatowego. Tak my przynajmniej zrozumieliśmy owe orzeczenie najwyższego sądu administracyjnego.“

Parcelacya trafnie uznaną została przez Niemców za dźwignię poniekąd dla społeczeństwa polskiego. Jak zaś daleko idą plany i zamiary hakatyzmu, aby dobroczynny wpływ nabywania ziemi przez Polaków sparaliżować, o tem przekonać się można z głosu **„Deutsche Zeitung“** o sprawie polskiej, która robi rządowi następujące propozycye:

„Słusznie się skarżą na to, że ludność niemiecka nie chce się na stałe osiedlać na wschodzie. Polska polityka rządu dopiero wtedy znów stanie na stanowisku wielkiego kurfirsta i wielkiego króla, jeżeli potrafi Niemcom uprzyjemnić życie na wschodzie, a dla polskiej ludności tak to życie obrzydzić, że ludność ta chwyci za kij pątniczy i albo pójdzie na zachód, gdzie jeszcze może być zgermanizowaną, albo na południe do obiecanej ziemi galicyjskiej lub choćby nareszcie do Ameryki“.

Przytaczając powyższy głos pisma niemieckiego, krakowska **„Nowa Reforma“** z zupełną słusznością wskazuje na coraz wzrastające pogłębienie przepaści oddzielającej dziś niemiecki rząd od poddanych polskich i zaznacza w końcu:

„Tak mówią nasi „współobywatele, z którymi żyć mamy w zgodzie, fundować wspólne instytucye, których nawet mamy „pokochać“ i uroczystości z nimi wspólnie urządzać!! Wprawdzie od czasu do czasu odzywa się uczciwszy głos niemiecki, potępiający podobne dążności hakatystów; ale opinia niemiecka w Prusach nie jest bynajmniej w tym kierunku na tyle wyrobioną, by mogła powstrzymać, lub przynajmniej osłabić teroryzm hakatystów; pozostaje więc jedyna nadzieja, że hakatyzm rozbije się o własną nidorzeczność, bo już obecnie antipolskie swe pomysły do absurdum doprowadza.“

B. M.

NA DOBIE.

Z prowincyi, 22 października.

Szanowna Redakcyo!

Nie chcąc dużo zabierać miejsca kochanej naszej „Pracy“, w krótkich sformułuję słowach, o co mi chodzi.

Wiadomo powszechnie, że toczył się świeżo w Berlinie skandaliczny proces karciarzy — ale niestety nie wszystkim wiadomo, że w procesie tym zamieszane było nazwisko polskie, w Księstwie ze wszechmiar szanowane i godne.

Młodzieniec, noszący to imię, zapewne nie zdawał sobie sprawy, jak fatalnie naraża honor całego społeczeństwa polskiego, wystawiając je w oczach całego świata na opinię, że składa się ono z karciarzy. Ale jak powinno postąpić sobie społeczeństwo wobec człowieka, który nie zastanowił się, że w pogardę nas podał u obcych? A wyraźnie tu zaznaczam, że pisma polskie o nazwisku tem zamilczały, pomimo — Towarzystwa antykarciarzy. *Z. Z.*

* * *

Królewska Huta.

Kochana „Praco“!

W nowym kwartale biorę za pióro, aby Ci tu, z Górnego Slązka przesłać życzenia dalszego szczęśliwego rozwoju! Jesteś dla nas tem, czem jeszcze żadne pismo dla ludu naszego nie było — bo zastępujesz nam niemieckie pisma i niesiesz oświatę w najuboższe progi. A za to, niestety, ile kar, procesów, wyroków spada na Ciebie, kochana „Praco“! Inaczejby to wyglądało u nas na rodzinnej ziemi, gdyby nawet nie wszyscy tak poświęcali się dla sprawy narodowej, jak Ty się poświęcasz, ale gdyby choć wszyscy umieli te ofiary przez Ciebie ocenić, jak na to zasługują. Czas już, aby nasz lud poznał, co to za mozolna praca, co za poświęcenie, co za przezwyciężenie trudności — szerzyć oświatę i bronić naszej narodowości i mowy ojczystej! I posiedzenia naszych Towarzystw nie świeciłyby wówczas nigdy pustkami, jak to się teraz często zdarza, bo nie wszyscy zrozumieć mogą, co za trudy się dla nich i dla sprawy ponosi. Więc chyba Bogu mamy dziękować za to, że nam daje takich wytrwałych i sumiennych pracowników na niwie ojczystej, którzy nie zrażają się żadnemi trudnościami i szerzą i niosą sztandar narodowy. Przyjdzie przecież czas, gdy lud nasz przejrzy i zobaczy, komu winien jest wdzięczność.

Wasz wierny przyjaciel

Gogolok z Król. Huty.



Korespondencye „Pracy“.

Z Kujaw.

Inowrocław, 23 października 1899.

Szanowna Redakcyo!

Wszelkie uznanie dla Waszego i „Dziennika Poznańskiego“ stanowiska, jakie w sprawie odsłonięcia pomnika dla cesarza Wilhelma zajęliście. Bądźcie przekonani, że zachowanie się bardzo niestósowne i nietaktowne w tej sprawie „Dziennika Kujawskiego“ i Towarzystw polskich, biorących udział w uroczystości, nader przykre na większej części ludności polskiej Kujaw wywarło wrażenie. Podzielać można, jak trafnie zauważyliście, uczucia patryotów niemieckich, ceniących zasługi swego wielkiego cesarza, który stworzył z małego królestwa pruskiego wielkie cesarstwo niemieckie. A cóż nam Polakom, którzy równie mężnie za wielkość Niemiec krew wylewaliśmy, ta wielkość przyniosła? Otóż niestety lata po wojnie francuzkiej klęskę po klęsce nam zwiastowały. Dość wspomnieć walkę kulturną, gremialne wydalanie rodaków, kolonizacyą itp., za które to ciosy łączymy się w szeregi obok członków „Verein zur Förderung des Deutschthums,“ by wobec rozsądnych Niemców się ośmieszać, wobec uczciwych na wzgardę sobie zasłużyć. — Dotąd przeciwnicy nasi, chociaż kuli prawa ku zagładzie naszej, przecież nas poważali; dzisiaj, jeżeli taktyki nie zmienimy, wzgarda nam pozostanie. Nie braliśmy dawniej tak ostentacyjnie udziału w festynach niemiecko-narodowych i praw tak twardych przeciw nam nie obmyśliwano; dzisiaj wszędzie nas tam pełno, choć coraz to nowe ciosy nasz język i narodowość spotykają. Wszakże powiedziano nam od stołu ministeryalnego, że kierunku polityki w sprawie naszej nic zmienić nie może, a rząd poskromiwszy się przez kolonizacyę z szlachtą upadającą nowe podyktuje rozporządzenia i uchwali nowe miliony ku powstrzymaniu rozwoju polskiego przemysłowca i włościanina. — Zostawmy więc te zbytnie objawy serwilizmu „Dziennikowi Kujawskiemu“ i jego przywódcom (Prusakom mówiącym po polsku). Niech oni się płaszczą, a my ich stawiajmy pod pręgierz opinii!

Nie dla nas ordery!...

Kujawiak.

* * *

Z Kruświcy, 22 października.

W ostatnim czasie występuje prasa energicznie przeciwko jednemu z najszkaradniejszych nałogów, które się w społeczeństwie głęboko zakrzewiły, przeciw karciarstwu. Wzrastające bankructwo materyalne i moralne wszystkich sfer, zarazem przeświadczenie, że jedynie opinia publiczna, napiętnowanie publiczne tych wyrzutków społeczeństwa zdoła choć w pewnym stopniu zapobiedz dalszemu rozkładowi, wywołały żywe zajęcie się tą sprawą. Ze stanowiska społecznego potępiać musimy bezwględnie w każdym razie karciarstwo; tem boleśniej odczuwamy ten upadek moralny, gdy ztąd nasze społeczeństwo cierpi i gdy w łamach pism obcych w odnośnym razie nazwiska polskie, nazwiska zasłużonych wobec sprawy polskiej mężów znajdujemy. Tak dalece upadliśmy, że pamięć naszych ojców, którzy nieraz i krew za sprawę świętą przelewali, kalamy podłym występkiem, upadlamy się wobec tych, co nas grzebią! Ogół cierpieć musi za te wyrodne jednostki, które znieczulone, na głos opinii publicznej nie baczą i znosić obelgi wichrzycieli rzekomych przyjaciół ludu, którzy chętnie korzystają z takich smutnych wypadków, by plwać ohydne oszczerstwa na ludzi zacnych i zasłużonych, dlatego tylko, że ich łączą z taką zakałą społeczeństwa węzły pokrewieństwa, stanowiska, którzy w takich chwilach rozstroju wszczepią nienawiść kastową, by za pomocą zbałamuconych warstw zaspokoić fałszywą ambicyę, żądzę panowania.

Sądzą oni ogół podług jednostek, a raczej chcą go sądzić, mimo lepszej wiedzy. Nie dziw, że teorya socyalistyczna, tak nęcąca, znajduje posłuch u tych warstw, które czując się upośledzonemi, widzą ten zbytek i tę rozpustę warstw uprzywilejowanych, słyszą, jak taki p. Poł. w kilku godzinach 24,000 marek w karty przegra, sumę, którąby może zapewniła byt całej familii. Rumieńcem wstydu twarz płonie, a zarazem wściekłość sercem miota, gdy się widzi te nędzne lepianki, w których nasz lud roboczy mieszka po wsiach, a zarazem się wspomni, że karciarze grosz trwonią wśród rozpusty. Czyż można ich szanować, czyż sami nie wywołują nienawiści i pogardy?

Ale karciarstwo to ich wrzód na ciele, który zabija wprzód najszlachetniejsze organizmy, a potem rozłada i najbliższe członki. Dziś już w warstwach rzemieślniczych głęboko ten nałóg zakrzewiony. Rzemieślnik, który pracą rąk swoich dorobił się majątku, wykupił posiadłość znaczną od innowiercy, obywatel, którego stawiano za wzór pracy, zapobiegliwości i oszczędności, znalazł złych towarzyszów, znalazł ich pośród sobie równych. Dziś noce w knajpie przesiaduje, traci grosz z trudem zapracowany, bo w walce z liczną konkurencyą. Wszystko to karty zrobiły. I tu sprawdzają się słowa Schillera: das ist der Fluch der bösen That, dass sie fortsetzend Böses muss gebären.“ Do jednej namiętności inne się przyłączyły. Jakże może potem np. kupiec lub rzemieślnik egzystować, jeżeli zaniedbuje się, żyje nad stan! Wtenczas to słyszymy skargi na obojętność współobywateli, którzy u innowierców muszą załatwiać interasa, nie mogąc polegać na takich ludziach. Jaki to przykład dla otoczenia, rodziny, domowników, współobywateli? Gdzie szacunek żony, dzieci i sług?! Jest to przykład wzięty z życia, jeden z setek, któreby można przytoczyć na stwierdzenie tej smutnej prawdy: że dobrobyt nie zawsze ludzi uszczęśliwia.

Również bolesnem jest to spostrzeżenie, że część naszej młodzieży, w której całe społeczeństwo nadzieje swe pokłada, zapomina swych obowiązków, marnuje czas drogi wśród zabaw wyuzdanych i rozpusty.

Zdrowie i mienie dla niej, bez ceny. Rujnując się fizycznie, materyalnie i moralnie, stają się ci panowie ciężarem dla społeczeństwa, które żadnych korzyści z nich niema. Pełni pretensyi, pracy i zasługi, drugich nie chcą uszanować. Mają przykład pracy w swych krewnych i znajomych, przykłady sławnych mężów, krórymi cały naród się szczyci, przykład pracy nad uświadomieniem i umoralnieniem ludu, lecz w ich sercach, zatrutych materyalizmem naszej epoki, niema miejsca do wzniosłych celów. Dziwią się potem, gdy ci z młodzieży naszej, którzy materyalnie nieraz lepiej od nich postawieni są, unikają ich towarzystwa. Mam tu na myśli przedewszystkiem rodaków, z poza kordonu, i to tych, którzy żyjąc w lepszych materyalnych stosunkach, chcąc zająć w społeczeństwie odpowiednie stanowisko, w naszych stronach się kształcą. Praca ich celem. Tymczasem wielu z naszej młodzieży pod panowaniem pruskiem, którzy z wydatkami liczyć się winni, pomiatają groszem prywatnym lub publicznym, trwonią grosz przy kartach i innych sposobnościach również niemoralnych. Mała ich liczba w stosunku do tych, którzy znają obowiązki swoje względem rodziny i narodu, lecz w naszem społeczeństwie jednostka, która zeszła na manowce, jest stratą wielką, niepowetowaną.

Miejmy nadzieję, że i w ich sercach tli jeszcze iskierka ambicyi, osobistego szacunku, że roznieci się w płomień, który jak ogień czyścowy grzechy zmaże, a ogrzeje serce zapałem do pracy i czynu dla Ojczyzny i ludzi. *X.*

* * *

Z Kościana, 23 października.

Jak w prastarym grodzie Przemysława, tak i na prowincyi rozpoczął się sezon zimowy, więc tu i owdzie Towarzystwa nasze się ruszają i dają znak życia o sobie. Nasz Kościan nie został w tyle,

dając na rozpoczęcie sezonu wspaniały wieczór na rzecz odnowienia kościołka św. Ducha w Kościanie. Zaiste była to prawdziwa biesiada artystyczna, która mogła zadowolić i najwybredniejszych krytyków.

Komitetowi, a przedewszystkiem dzielnemu dyrygentowi, p. Bartkiewiczowi, należy się uznanie i podzięka za tak piękne i z zrozumieniem rzeczy przeprowadzenie programu. Kiedy swego czasu wyczytałem w pismach, iż p. B. złożył urząd kierownika śpiewu w „Lutni“ tutejszej, mimowolnie ogarnął mnie żal, iż będziemy pozbawieni tak pięknych koncertów oraz przedstawień teatralnych, które z wielkiem powodzeniem urządzał; lecz obawy nasze stały się płonne i chociaż nie w „Lutni“ p. B. raczy publiczność najcelniejszemi utworami, jakie wyszły z pod pióra kompozytorów naszych, jak Moniuszko, Żeleński, Münchheimer (nestor kompozytorów naszych), Noskowski, Maszyński i t. d. — dość wspomnieć obchód stuletniej rocznicy Mickiewicza. Podobno p. B. ma zamiar wystawić Moniuszkowską „Switeziankę“ opracowaną na sola, chór i orkiestrę przez Münchheimera.

Ostatni koncert, a pierwszy w sezonie bieżącym odznaczył się wybornym programem, mianowicie kantatą Adama Münchheimera „Powitanie słońca“ (jakkolwiek znaną z uroczystości Moniuszki); na wielostronne życzenia wpleciono tę perłę naszej muzy w program, która na samym wstępie wywarła wrażenie; frenetyczne oklaski były podzięką za wyborne wykonanie pięknej kompozycyi. Deklamacya „Mędrcy“ Mickiewicza, wygłoszona przez rutynowaną deklamatorkę panią C. podobała się, lecz tym razem była za krótka.

Przechodzimy teraz do sztuki „Wiesław“ czyli Krakowskie wesele — operetka w 4 aktach z oryginalną muzyką Szlagórskiego. Prześliczne melodye solowe, dwu, trzy i czterogłosowe chóry i tańce były koroną sztuki. Charakterystyczny polonez odśpiewany silnym barytonem zyskał powodzenie, nie wyłączając raźnych tańcy, z których przebijała werwa iście krakowska; przeciągłe oklaski były sowitą nagrodą dla amatorów za ich trudy a jak dalece publiczność była zadowoloną dowodem to, iż niemal cały czwarty akt musiano powtórzyć. Całość wypadła świetnie, warto by „Wiesław“ tak wykonany objechał całą naszą prowincyą. Z niekłamaną ciekawością wyczekiwano wykonania utworu Noskowskiego „Rok w pieśni ludowej“ czyli kantata w czterech częściach a) Wiosna b) Pochód z gaikiem c) Okrężne i d) Wesele na sola, chóry i orkiestrę. Już to przyznać musimy, że wykonanie tychże było znakomite.

Dla spóźnionej pory nie było możliwem ani jednej z nich powtórzyć mimo wołania „bis.“ W każdej wymienionej pieśni widnieje niezwykła staranność polegająca nietylko na wydobywaniu jedynie kontrastów piano i forte, lecz nadewszystko na wyzyskaniu możliwych efektów, popartych wybornem cieniowaniem, wyrazistą dykcyą i umiejętnem frazesowaniem. — Żywy obraz przedstawiający niejako cztery pory roku, stosownie do ostatnich śpiewów był świetnem zakończeniem wieczoru, który na długo pozostanie w pamięci naszej. Nawiasowo dodać wypada, iż wykonawcy programu i podczas powtórnego przedstawienia wywiązali się z swego zadania doskonale. Dzięki tym, którzy się przyczynili do uprzyjemnienia nam kilku chwil.

Fr. W.

* * *

Z Górnego Ślązka, d. 21 października 1899.

Nad każdą pracą, jeżeli takowa przedsięwzięta jest szczerze dla dobra ogółu, czuwa duch Boży. To czuwanie nie polega jedynie na tem, ażebyśmy zawsze aureolą szczęścia i powodzenia otoczeni byli, ale i na tem, ażeby niepowodzenia i krzywdy, jakie nas spotykają, zahartowały nas i nie zgięły pod ciosami losu. Niestety, my, dzieci tego narodu, dla którego fortunna gwiazdka na niebios błękicie od przeszło stu lat już zgasła i pozbawiła wolności, swobody, ojczyzny... my nie możemy poszczycić się nawet wolnością pracy, bo ludzkość, nienawistna do wszystkiego, co nam drogie i święte, zabrania nam w zaciekłości swej tej pracy, do której sam Bóg nas zawezwał. Swieży dowód tego mamy w wygnańcu naszym, p. dr. Rakowskim.

Pan dr. Rakowski może być pewny, że mimo zaciekłości hakatystycznej ugodzonej w niego, której ofiarą ostatecznie paść musiał, pałają ku niemu współczuciem Wielkopolanie, a do tych przyłączają się także obudzeni z letargu obojętności wiekowej pod wpływem ciepła narodowego „Pracy“ w życzliwości i współczuciu Slązacy, którzy również na zagładę świętości narodowych z pod strzech swoich nie pozwolą i energicznie z nawałą hakatystyczną walczyć będą.

I my nie zapomnimy tu krzywdy wyrządzonej nam wydaleniem pana dra Rakowskiego, ale hasła naszego „W imię Boże za wiarę i narodowość“ trzymać się będziemy, ufając, że zawsze i wszędzie czuwa nad nami i strzeże nas przed zagładą Bóg!

Toć i my tu na naszym ukochanym Ślązku uczuwamy błogość kultury niemieckiej. Towarzystwom naszym polskim, pracującym nad tem, ażeby młodzież przed niemoralnością i zepsuciem obecnych czasów obronić, zarzuca się jakieś cele agitacyjne i dążności polityczne, które zagrażają swobodzie i wolności niemieckiego „Vaterlandu“ z milionowem wojskiem. — Takie Towarzystwa muszą być naturalnie ukarane, jak n. p. w ostatnim czasie „Związek kat. Młodzieży“ w Król. Hucie.

Wet za wet! — mówi się u nas na Śląsku. Zatem odwagi, Rodacy, i w tych czasach krytycznych nie zakładajmy w bezczynności rąk, ale brońmy się mężnie przed nawałą germanizmu. Spokojnie, wytrwale, a *ostrożnie* zarazem pracujmy dla dobra wspólnego. Brońmy języka naszego przed zagładą, bo to *nasz* obowiązek. — Rozszerzajmy też gazety i czasopisma polskie wśród naszego ludu, przedewszystkiem naszą ukochaną „Pracę“, która w słowach gorących doda nam zawsze otuchy.

Ślązacki.



Z ojczystych stron.

XXXIII.
Kępno.

„Wracajmy razem do ziemi rodzinnej....“

W południowej części Księstwa, tuż nad granicą śląską, leży nad rzeczką Samicą Kępno. Nazwa miasteczka tego pochodzi od kępy, to znaczy suche miejsce wśród bagna. Miejsce, na którem dziś miasto stoi, było niegdyś zarosłe lasami, i otoczone wodą i bagnem. Obecnie nawet ciągną się wokoło Kępna rozległe i wilgotne łąki, nazwa więc kępy zupełnie jest uzasadnioną.

Początku miejscowości tej nikt nie zna dokładnie, stare bowiem i ważne dokumenta i kroniki częścią spaliły się, częścią zginęły, to tylko wiadomo, że była to mała osada, która z czasem przeszła w posiadanie magnatów polskich, i stała się najpierw większą wsią, a w końcu miastem. Wsią było Kępno aż do 13 wieku, t. j. aż do wielkiego napadu Mongołów na Polskę. Zaraz po roku 1240 sprowadziło się tu dużo Niemców, którzy osiedlili się blizko Kępna i założyli nową wieś, nazwaną Langinfurtem. Po raz pierwszy wspominają kroniki o wsi tej w r. 1283, kiedy książe Przemysław II wydał rozporządzenie, na mocy którego wszystkie miasta w obwodzie kaliskim miały uznać wójta kaliskiego jako najwyższą władzę. Pomiędzy temi miastami znajduje się także, „nasze miasto Langinfurt“ (civitas nostra in Langinfurt).

Pod nieco zmienioną nazwą „Langewort“ jest miasto owe wspomnianem także w ugodzie, zawartej dnia 10 Sierpnia r. 1323 pomiędzy księciem Bolesławem III z Lignicy a Konradem I z Oleśnicy. Jeszcze w r. 1360 znajduje się w pewnym dokumencie, na mocy którego wrocławski biskup Przeczysław darował kanonikowi poznańskiemu, Stefanowi Gromassowi, 24 wsi, obok „Kępna“ nazwa „Langinfurt.“ Tym sposobem mamy pewność, że w 13 i 14 stuleciu miejscowość ta miała dwie nazwy. W 15 jednak wieku zaniechano niemieckiego Langinfurtu i miasto nazywało się odtąd zawsze tylko Kępnem.

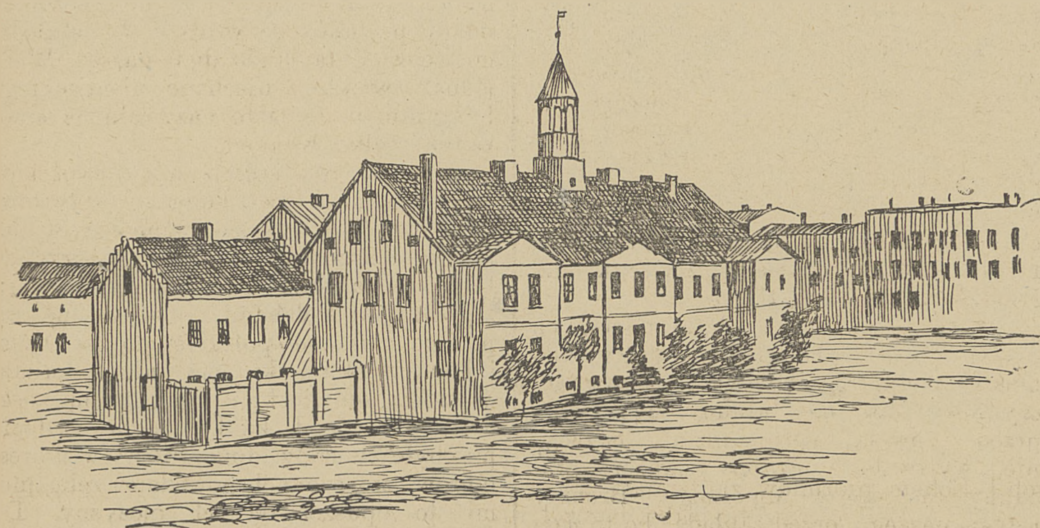
Nie we wszystkich miejscowościach oparli się niemieccy koloniści wpływowi Polaków. Tak jak się Bamberczycy zupełnie spolszczyli, tak też i mieszkańcy Langinfurta stali się z biegiem czasu zagorzałymi Polakami — (widać, że im pod panowaniem polskiem dobrze było) i w 17 wieku nikt już nie pamiętał o jakiejś niemieckiej koło Kępna osadzie. Ale pod koniec tegoż stulecia przybyło tu znów dużo Niemców-protestantów, zmuszonych powodami religijnemi do opuszczenia ich ojczyzny. Do Kępna więc sprowadziło się kilkadziesiąt rodzin, głównie rzemieślników, z Śląska, i doznało od ówczesnego dziedzica Adama Biskupskiego, starosty wieluńskiego, bardzo gościnnego przyjęcia. Biskupski pozwolił im wybudować kościół i szkołę, i darował im potrzebną do tego ziemię. — W r. 1660 nadał król Jan Kazimierz miastu prawo magdeburskie i rozmaite przywileje, co się bardzo przyczyniło do podniesienia dobrobytu obywateli. Żydów było tu bardzo mało,

w r. 1684 było tylko 10 żydowskich rodzin w mieście.

Przez długie lata należeli katoliccy mieszkańcy Kępna do parafii baranowskiej. Dopiero w r. 1684 wystawił właściciel miasta, Marcin Olszowski, probostwo w mieście, a kościół istniejący do dziś jeszcze, zbudowanym jest z drzewa i nie ma wieży. Dzwony wiszą w dzwonnicy, małym budynku blizko kościoła. Początkowo należała parafia kępińska do dziekanatu ostrzeszowskiego, ale później wywyższono ją także do rzędu dziekanatów i oddano ją w zarząd, aż do r. 1821, księciu biskupowi wrocławskiemu. W r. 1684 założono także szkołę katolicką, która będąc do r. 1801 wyłącznie katolicką, jest symultanną.

Żydów teraz niestety, więcej jest w Kępnie, niż dawniej. Marcin Olszowski pozwolił im w r. 1674 założyć nową ulicę i zajmować się handlem — każdy zaś żyd, który się tu sprowadził, nie potrzebował przez cały rok płacić podatku. W r. 1689 wystawili żydzi synagogę, w r. 1815 odnowili ją, a urządzenie jej wewnętrzne ma podobno być wspaniałem!

Niemcom protestantom zawsze się tu dobrze działo. Adam Biskupski, który ich sprowadził, opiekował się nimi bardzo troskliwie, a Marcin Olszowski, protegował ich nawet więcej. Ale wdowa po nim mniej była lutrom przychylną, syn jej zaś Wiktor, który później objął cały majątek, poszedł za jej przykładem. Przez kilkadziesiąt lat nie mieli protestanci własnego kościoła (stary bowiem spalił się) w r. 1768 jednak zbudowali sobie nowy, który się w r. 1854 także spalił. — Liczba mieszkańców Kępna zmniejsza się coraz to bardziej. W r. 1875 było 6246 dusz, obecnie jest ich 5760. Powodem tego jest zniesienie sądu powiatowego, podział powiatu i zmienione stosunki z Rosyą. Kępno leży nad koleją, posiada młyn parowy, tartak parowy, fabrykę papy, tabaki, gazownią i rzezalnią.



Sąd w Kępnie.

Zresztą jest to ładne miasteczko i może się poszczycić bardzo wielkim i pięknym rynkiem. Rynek ten, mający 18,335 kw. m., jest większy niż Stary Rynek w Poznaniu i stoi w porównaniu do ogromnego rynku wrocławskiego, mającego 3,4 ha. areału, jak 1 : 2.

Kronikarz „Pracy“.

Górnik-bohater.

Różnemi dary Bóg nas ubogaca;
Niechaj pracuje, kogo wzywa praca —
Kto pług otrzymał, niechże ziemię kraje;
Młot znów górnika ludziom skarby daje.

W dziejach naszych czytamy o różnych sławnych wojownikach, o wielkich królach i wodzach, których wielkimi nazwano częstokroć tylko za to, że odnosili wielkie zwycięstwa, że zdobywali kraje i słabsze ludy podbijali, jednem słowem, że „przelewali krwi morza“; — a rzadko znajdziemy tam opis życia i czynów ludzi cichych i skromnych, pełnych zaparcia się i poświęcenia w pracy dla dobra bliźnich i Ojczyzny, oddanych duszą całą tej boskiej idei: „kochaj bliźniego twego, jak siebie samego!“ — i którzy w razie potrzeby gotowi są za tę ideę głowę położyć.

O takim właśnie cichym bohaterze, górniku chcemy wspomnieć. Praca w kopalniach należy do najcięższych i najniebezpieczniejszych. W głębokich podziemiach, odległych od powierzchni ziemi setki metrów, a niekiedy nawet przeszło 1,000 m. (jak n. p. w Przybramie w Czechach) pracuje miliony ludzi, wydobywając z łona ziemi bogate skarby jak: rudy żelaza, metale szlachetne, (złoto, srobrc), sól, wosk ziemny, naftę, węgiel i t. p. Jak duchy jakie wśród ciemności świata podziemnego przesuwają się górnicy po rozległych chodnikach, ciągnących się niekiedy jakby gościńce po kilkaset, a nawet kilka tysięcy metrów w dalekie przestrzenie — a drogę wskazuje im jedynie mała lampka.

Nie do pozazdroszczenia jest los tych pracowników, nie wiedzących, czy spuściwszy się dziś w głębokie podziemia, wrócą jeszcze na świat Boży, czy nie osierocą drogich rodziców, lubej żony i ukochanych dziatek, bo tam tysiączne niebezpieczeństwa czyhają na życie pracowitego górnika, jakby chciały się mścić za to, że się odważa wykradać nagromadzone skarby. Wieczna noc, wilgotne powietrze, a częstokroć szkodliwe wyziewy i gazy niszczą przedwcześnie siły i zdrowie, a prócz tych zwyczajnych, codziennych nieprzyjaciół najgroźniejszymi wrogami są niespodziewane, gwałtowne wybuchy gazów zapalnych, które zwłaszcza w kopalniach węgla dość często się pojawiają jakby jaka gromada piorunów i sprawiają naokół straszne zniszczenia, zabijając nietylko ludzi, ale druzgocząc wszystko i zamieniając pracę ludzką w wielkie rumowisko. A jednak w takich warunkach pracuje w samej tylko Austryi około 200, a w Niemczech do 400 tysięcy ludzi. Zaiste trzeba wielkiego zaparcia się, odwagi i poświęcenia, a nieraz i twardej konieczności, aby w takich warunkach pracować, to też ludziom tym, dostarczającym nam tylu skarbów ziemi, od których zależy rozwój całego przemysłu i bogactwa świata, należy się prawdziwy szacunek i wdzięczność.



Celestyn Racek.

Dolę swą łagodzą sobie ci dzielni pracownicy od kilofa i młota przez to, że zawsze występują łącznie i solidarnie w obronie swoich interesów. Świadomi tego, jak wielkie i ważne usługi oddają społeczeństwu, umieją cenić godność swego stanu, zaś wspólna praca i wspólne niebezpieczeństwa wiążą ich pełnem silnem poczuciem braterstwa i jedności. Obecnie łączą się górnicy prawie na całym cywilizowanym świecie w związki gwareckie czyli stowarzyszenia górnicze w tym celu, aby iść razem jedną wielką gromadą w obronie swoich spraw. W taki sposób wywalczyli sobie dosyć dobre wynagrodzenie za swą ciężką i niebezpieczną pracę, a w wielu kopalniach mają nawet zabezpieczone skromne utrzymanie dożywotnie na wypadek kalectwa lub niezdolności do pracy.

Słowem powitania i pożegnania u górników jest nasze serdeczne, staropolskie „Szczęść Boże“ - bo też Bożej zaiste potrzeba opieki i pomocy, aby wyjść cało z tych tysiącznych niebezpieczeństw, jakie czyhają na życie człowieka w głębokich podziemiach.

Na zachodnich krańcach Polski, na Śląsku austryackim w Karwinie w kopalniach węgla hr. Larysza Mennicha nastąpił w dniu 14 czerwca 1894 roku straszny wybuch gazów zapalnych, pozbawiając życia paruset ludzi, a między nimi zginął okropną śmiercią inżynier górniczy ś. p. *Celestyn Racek*, syn stygara z kopalni soli w Wieliczce. Już od pierwszej młodości musiał walczyć z biedą i przeciwnościami, o własnych prawie siłach ukończył szkoły, a nadto był pomocą dla swej niezamożnej rodziny. Po ukończeniu akademii górniczej pracował jako inżynier w Karwinie w kopalniach węgla. Podczas pobytu na Śląsku był ś. p. Celestyn Racek niezmordo-



wanym pracownikiem nad podniesieniem oświaty i ducha narodowego wśród braci roboczej. Jako dzielnego szermierza sprawy polskiej pamiętają go dobrze czytelnie polskie w Karwinie, Frysztacie, Łazach i t. p., nad których rozwojem gorliwie pracował w czasie 7-letniego pobytu swego na ziemi ślązkiej. Rozbudzenie ducha i świadomości narodowej polskiej wśród tego olbrzymiego zalewu niemieckiego ma mu wiele do zawdzięczenia.

Z pracy tej szlachetnej i obfitej w piękne owoce wyrwała go w kwiecie wieku, bo w 33 roku życia, straszna katastrofa. Dnia 14 czerwca 1894 r. około godziny 10 w nocy usłyszano okropne, przerażające grzmoty podziemne i w tej chwili wpadł do mieszkania Racka robotnik z oznajmieniem, że w kopalni nastąpił wybuch gazów piorunujących. Bez chwili wahania zrywa się ten starszy przyjaciel pracującej drużyny roboczej, aby spieszyć w płonące ogniem i zniszczeniem podziemia i nieść pomoc nieszczęśliwym. Napróżno zaklinają go biedne siostry-sieroty, aby się nie narażał na oczywistą i niewątpliwą zgubę, ale on na nic nie zważa, a na myśli ma to jedynie, że tam giną jego bracia. Ze stygarem Flamem i kilku robotnikami podążył do szybu t. zw. „Tiefbau“, uwiadomić w odległych i głębokich miejscach pracujących górników o grożącem im niebezpieczeństwie i wskazać im drogi ucieczki i ocalenia. I rzeczywiście powiodło mu się ocalić kilkudziesięciu robotników, ale ś. p. Celestyn na tem nie poprzestał, zapragnął on podać pomocną rękę i innym nieszczęśliwym i mimo próśb i zaklęć uciekających robotników, aby ratował swe życie, podążył do szybu Franciszka, gdzie właśnie nastąpił wybuch. Serce jego przejęte było błogą nadzieją, że znowu zdoła kilka ofiar wyrwać straszliwej śmierci, wtem nastąpiła powtórna eksplozya i przerwała nić szlachetnego żywota.

Dopiero dnia następnego wydobyto jego zwłoki z roztrzaskaną głową, złamaną ręką i nogą, opalonego okropnie i zmienionego zupełnie do niepoznania. Dnia 17 czerwca odbył się pogrzeb cichego bohatera przy udziale licznej, smutnej rzeszy towarzyszów pracy i ich rodzin, którzy z głębi duszy przesłali mu nad mogiłą: Ostatnie „Szczęść Boże“.

Trumnę jego okryły liczne wieńce od rodzin robotników bez różnicy narodowości, którym ocalił ojców, mężów, synów, jak również od kolegów i znajomych. W kilka dni potem odprawiono za spokój jego duszy nabożeństwo żałobne w Wieliczce, staraniem jego kolegów, przy bardzo licznym udziale publiczności. *P.*



Bitwa pod Borowem.

(Stoczona dnia 22-go Października 1863 roku.)

Echem piorunów zagrzmiały działa,
A kulki świszczą jakby pszczół rój,
Aż las się chwieje — ziemia drży cała,
To pod Borowem wre straszny bój.
Słychać chrzęst zbroi i rżenie koni,
Krótki, dobitny komendy głos —
Trzaskają kurki — czasem zadzwoni
Szabla o pochew. Jaki dziś los
Padnie mi, Bogu polecam duszę,
I śmiało sypię do lufy proch...
Ognia!... o! Jezus Marya! ginę... och!..
Naprzód! za wolność — za świętą wiarę,
Za matek męki — za ojców krew,
Dajmy Ojczyźnie z życia ofiarę,
Może ją zbawi krwi naszej siew,
Za mną!... ja z wami! i już na przedzie
Na białym koniu mknie dzielny wódz.
Zginiem!... zwyciężym!... Ślaski nas wiedzie,
O z nim to musim dziś Moskwę stłuc!
Wśród kłębów dymu wciąż grają działa,
Ściska za serce ranionych jęk,
Cofa się wszędzie Moskwy nawała,
Jakby ją opadł paniczny lęk,
Boże!... dostałem — Richter zawoła,
Chwieje się — pada na zwiędły liść...
Kapitan zginął!... — jękli do koła —
O! w jego ślady trzeba nam iść.
Jaki on piękny, ten ranny w nogę!...
Usiadł — wystrzelił.. nabija broń —
Ach! to Bogdański, wierzyć nie mogę,
Ha!... pada... już zbladł, już we krwi skroń,
Z ręki broń leci, w tył zwisła głowa,
Z szlachetnej piersi uląta duch,
Wyszeptał jeszcze: „Matko! bądź zdrowa!
Tam się zobaczym... żegna was druh.“
Tu pierś do piersi idzie trzydziestu,
A na ich czołach siadł męztwa Bóg;
Z bagnetem w ręku pragną krwi chrzestu,
Widzi ich zbliska — i zadrżał wróg.
Blandin ich wiedzie, aż sercu miło,
Z promiennem licem, jak panna w tan;
Błysło luf dwieście — dwieście się wryło
W piersi kul — płynie krew z wielu ran.
Legli jak kwiaty świeżo uszczknione,
Uśmiech rozkoszy na ustach śpi.
Pierś drży na piersi — ręce splecione —
A Blandin zda się o Francyi śni.
Ach jeszcze bracia wytrwać przez chwilę,
Ostatni atak przypuśćmy wraz,
Moskwa już pierzcha, choć w takiej sile
Przed garstką naszych, Bóg wspiera nas!
Taka komenda z ust do ust leci,
Gdy w tem skrwawiony przypada koń...
Uzda stargana — z ócz trwoga świeci...
Zbledli... na kurkach zdrętwiała dłoń.
Wódz Ślaski ranny... tam krzyczą, zginął!
I wnet się miesza walecznych szyk,

Opadły siły, gdy zapał minął,
A tu się wzmaga wciąż Moskwy krzyk:
Neujdiosz! towi!... — zawyła tłuszcza
I pędzi resztki mordować w pień,
Lecz garstka naszych już bój opuszcza,
Przysiągłszy zemstę na inny dzień.
Tam się na drzewie młodzieniec wspiera,
Chwyta rewolwer w omdlałą dłoń,
Powieki senne gwałtem otwiera,
Naciera ręką wybladłą skroń,
Widzi go tłuszcza — wściekle przypada:
No sukin synu!... da pardon krycz!...
Stadnicki spłonął, nie odpowiada,
I rewolwerem przywitał dzicz.
Padły dwa strzały, on jak dorodny,
Młody, siekierą cięty dąb padł:
Zdarli zeń suknie, choć dzień tak chłodny!..
Poszli, on jęcząc wśród trupów siadł.
I garstka naszych uszła bez trwogi,
Echo wystrzałów nikło wśród gór,
Moskwa pociągła na mord, pożogi,
Przy nagich trupach pozostał bór.
Już jasno — księżyc — gwiazd tysiąc [płonie,
Na niebie słychać Aniołów śpiew!...
A ziemia polska tuli na łonie
Tych, którzy dla niej przelali krew.

H. S.

Święto Duchów.

Mgły, gęste mgły jesienne, zawisły nad ziemią!

Dzień był wietrzny, ponury, smutny; coś, niby jęki ciche, niby westchnienia, słychać było w powietrzu; gdzieniegdzie jakiś suchy listek, zabłąkany na ogołoconych już drzewach, spadł i toczył się, wiatrem pędzony, i cicho coś szemrał, jakby się skarżył na swą dolę tułaczą!

Był to dzień wyłączny, kiedy duchom wolno jest zstąpić na ziemię, stanąć pomiędzy żywymi, niewidzialnie, cicho, lekko, przesuwać się po tych samych komnatach, które ich żyjącymi widziały, stanąć u wezgłowia, być wszędzie, czuwać u ogniska i czekać owej jedynej jałmużny, jaką mogą mieć od ludzi, jedynej nici, wiążącej świat żyjący z ową krainą wieczności — modlitwy za umarłych.

I tłumnie spływały duchy, jak lawina biała, jak fala, z lekkim szelestem, a było ich tak dużo, tak dużo, że niktby ich zliczyć nie potrafił.

I szły najprzód na cmentarz, by tam chwytać w lot każde słowo, rzucone im w darze; a ludziom się zdawało, że to tylko mgła gęsta unosi się nad ziemią!...

Dzień ten — to święto duchów!... W dniu Zadusznym ludzie żyjący przypomnieć muszą, choćby z obowiązku tylko, o swych zmarłych, zmówić za nich pacierz i nawet niewinne dziecinki składają pobożnie rączęta, a z ich ustek różowych, rozchylonych, płynie modlitwa za duszę dziadzi, babci, siostrzyczki lub braciszka, płynie prosto w nieznaną nadziemską krainę, a ich paciorek podchwytuje anioł biały i rzuca na szalę tych, którym naznaczono kary i którzy czekać muszą, aż modlitwy, z ziemi płynące, przeważą nareszcie na szali wagę ich grzechów!

Ale oto duch jeden, w mgłę owity, ze skrzydłami osnutemi jakby siecią pajęczą, leciał smutny, z głową na piersi zwieszoną, ociężale, nizko; leciał nad ziemią i zdawało się, że go jakieś wielkie brzemię przygniata i ku tej ziemi przyciąga. Ach! wiele już bardzo dni zadusznych minęło i wiele innych dni, długich jak wieczność, a duch ten, pokutujący wciąż, czekał i czekał, aby mu kto rzucił z litości jedno chociażby modlitwy słowo!

I smutny anioł biały, który ważył wciąż szale grzeszników i pośredniczył wciąż pomiędzy tłumem nadziemskich pokutników a wyższemi kręgami nigdy nie gasnącego światła, znał już dobrze ową biedną duszę znękaną, która tak bardzo pragnęła spokoju jeszcze w ziemskiem swem życiu, tak zatęskniła nagle za tą wieczną ciszą, do której, zgodnie z wiarą mieszkańców ziemi, śmierć im otwiera bramę, że zerwał śmiałą ręką naznaczone mu z góry pasmo żywota! Kula przecięła je u wstępu prawie do życia, i choć serce jego czystem było, jak kryształ, choć ukochało ludzkość z całą wiarą młodzieńczą w możność uszczęśliwienia jej, ogrzania tchnieniem wszech miłości, kilka jednak smutnych zawodów, doświadczonych jeden po drugim, kilka bolesnych rozczarowań, odebrało mu odwagę do dalszej walki.

Jak on teraz jasno widział z góry i przebiegał myślą krętą ścieżkę swego żywota!... Jak widział i tę dalszą drogę nakreśloną przed nim szeroko, której nie przebył, a w której mógł jednak niejedną jaśniejszą znaleść chwilę! jak żal mu było zapasu wiedzy, uzbieranego z takim trudem energii, sił młodych, które mógł przecież na użytek innych ludzi obrócić!

Stało się! Dziś, rzucony pomiędzy ziemią i niebem, mógł rozpamiętywać to wszystko i czynić sobie wyrzuty bez końca, z całą rozpaczą bezsilnej samowiedzy, na jaką był skazany!

Wiązały go jeszcze do ziemi i tamowały lot skrzydeł więzy pajęcze, niewidzialne prawie, ale krępujące go tak mocno, że napróżno rwał się, szamotał, chcąc je potargać — przechodziło to jego siły i musiał nieszczęśliwy czekać pokornie lepszej doli.

Aby mógł zrzucić z siebie te więzy i wzbić się w upragnione wyższe sfery niebieskie, trzeba było, zgodnie z wyrokiem Bożym, aby na ziemi trzy razy, ale szczerze, serdecznie, zmówiono „Anioł Pański“ za jego duszę.

Trzy modlitwy, tak mało, a tak wiele dla tego, kto nie pozostawił nikogo na tym świecie, ktoby się za niego pomodlił!

Sierotą był, przyjaciół nie szukał — cichym był pracownikiem, jednym z tych, co gorliwie służąc swą pracą ludziom, uznania ich zdobyć nie mogą.

Jak on pamięta jasno tę chwilę rozstania się z życiem!

Marzył o niej nieraz w długie, ciche wieczory, marzył słowami poety:

„Chciałbym spokojnie, lekko, bez boleści
„Rozsnuć do życia wiążące mnie nicie,
„Zniknąć bez śladu i przepaść bez wieści,
„Jak łza w potoku, gwiazda na błękicie!...

I odszedł cicho!... Nikt nie wiedział jak i kiedy! Gdy go znaleziono zesztywniałym już na cmentarzu, spisano protokuł, nazwiska jego nikt nie znał, świeża rana i w ręce kurczowo zaciśniętej morderсze narzędzie nie nasuwały żadnych sądowych wątpliwości — stwierdzono samobójstwo.

Więcej niż skromnym pogrzebem zajął się dziad kościelny; postanowiono go pochować na uboczu, poza obrębem poświęconej ziemi.

Dobry był ów dziad stary! Sam dół wykopał, sam z jakichś starych desek zbił trumnę, złożył w niej ostrożnie jego ciało, krew zakrzepłą zmył mu ze skroni i pod głowę podesłał snopek świeżej trawy.

Ostrożnie też spuścił trumnę do grobu, przysypał ziemią czarną, a potem ukląkł przy mogile i zmówił pobożnie „Anioł Pański“ za duszę biedaka, co sobie śmierć przed czasem przyspieszył! „Biedneż to jakieś panisko być musiało!... — mruczał stary. — Młody jeszcze był, silny, a życie mu już tak zbrzydło!... pewnikiem mu nie słodkiem ono było!...“

I długo coś szeptał, sam z sobą gwarząc, aż wreszcie powlókł się o kiju i usiadł na zwykłem swojem miejscu u wrót cmentarza.

I ten-to jeden, jedyny głos modlitwy, o spokój odlatującej duszy, smutny anioł biały zaraz wziął z sobą w błękity i czekał z niepokojem, azaliż rychło dwie jeszcze prośby, szczere, ufne a gorące, wzniosą się do Boga o zmiłowanie nad tym pokutnikiem.

Ale mijały dni za dniami, mijały miesiące, lata; tylu innych przez ten czas otrzymało już rozgrzeszenie i ów wieczny odpoczynek, o który prosili dla nich żyjący; a biedna dusza młodego marzyciela nie miała czem okupić buntu swego przeciwko woli Bożej, do jakiego pobudziło go przedwczesne pragnienie tego odpoczynku. Ona skazaną była na to, ażeby długo jeszcze nie zaznała spokoju, dręczona świadomością swej winy i męczarnią oczekiwania, jaka ją dawniej w ludzkiem ciele trapiła.

I oto dziś, w dzień zaduszny, duch biednego skazańca popłynął znów z chmurą innych duchów na ziemię, szukać modlitwy za siebie!

I gdy mrok szary, jak gdyby w zwoje gazy miasto owinął, zatrzymał się u okna małego saloniku, gdzie było prawie ciemno. Jakiś promień światła, padający z sąsiednich okien skośnym, wązkim pasem, łamał się w szkłach kandelabrów, stojących na otwartym pianinie.

Przed niem siedziała dzieweczka w bieli, o włosach jasnych, spływających w grubych warkoczach na ramiona. Rączki jej przebiegały po klawiszach, dotykając ich zaledwie; słodkie, pieszczotliwe tony płynęły z pod tych paluszków drobnych, napełniając pokój jakby nadziemską melodyą. Natchnione dźwięki preludyum Szopena dźwięczały cicho, słodko, a potem nagle przeszły bezwiednie w marsz pogrzebowy i zajęczały tak boleśnie skargą i tęsknotą, że młode dziewczę zerwało się raptem, zamykając gwałtownie pianino, jak gdyby przykro uderzone tą ponurą nutą, która się mu jakoś sama nasunęła mimowoli. Stanęła przy oknie i oparłszy śliczną główkę o zamgloną wilgotną szybę, zatrzymała się tak długą chwilę, pod wpływem dziwnego wzruszenia, jakie nią owładło.

Dlaczego nagle smutno jej się zrobiło? Wszak była tak szczęśliwą i kochaną!... tak wszelki ból i troską obcemi jej dotąd były!... Jedynaczka, ubóstwiana

przez rodziców, psuta potrosze przez starą babcię, która dopomagała jeszcze w dogadzaniu wszelkim zachciankom swej najmilszej pieszczotki, teraz jest narzeczoną, a miły sercu, sympatyczny, wybrany przez nią młodzieniec, skarbem ją swym najdroższym nazywa.

Była szczęśliwą — o! jak bardzo szczęśliwą!

Życie uśmiechało się do niej, ludzie wszyscy dobrymi się jej zdawali i chciałaby im wszystkim choćby cząstkę radości, napełniającej jej duszę, udzielić!

Dlaczegoż nagle, w tym mroku szarej godziny, palce jej na smutną natrafiły nutę? czemu ten jęk pogrzebowego dzwonu jakby wciąż dzwonił jeszcze w jej uchu i kirem smutku okrył jej duszę! Łezki nawet stanęły w modrych oczach dziewczyny i na długich jej rzęsach zawisły.

— Ach! Boże dobry!... Wszak to dziś dzień zaduszny, to dzień zmarłych — szepnęła — może dlatego tak mi czegoś smutno, jakby umarli sami o wspomnienie upominać się chcieli.

Przebiegła myślą krótką swą przeszłość. Była jedną z tych wyjątkowych, szczęśliwych i wybranych istot, które nikogo jeszcze nie miały do opłakiwania; wszyscy drodzy jej sercu byli tu blizko niej zebrani, nie brakło nikogo w tem rodzinnem gronie. Wspomnienie na to jakąś dziwną błogość wlało w jej duszę, a jednak mimowoli ręce złożyły się do modlitwy, osunęła się lekko na kolana i, dziwnie wzruszona, zaczęła szeptać „Anioł Pański!“

Gdy przyszły słowa: „wieczny odpoczynek racz im dać Panie“, z własnego natchnienia dodała: „duszom tych, za których nikt się nie modli!“

I nagle tak się jej lekko zrobiło na sercu, jak po spełnieniu dobrego uczynku; zdawało się, że jakaś magnetyczna siła skłoniła ją do tej modlitwy, a teraz spokojna, wesoła, jak ptaszę, pobiegła w głąb domu, do dalszych pokoi, gdzie jasne światło lampy i gwar rozmowy rozwiały smutny nastrój szarej godziny. Ale razem z szelestem jej sukienki, niby jęk głuchy, dał się słyszeć w mroku pustego saloniku. O! jakże całą siłą woli duch biednego pokutnika pragnął natchnąć białą dzieweczkę, aby mu nie odmówiła jeszcze jednej modlitwy!

Odeszła jednak, nie rzuciwszy mu już więcej tej słodkiej jałmużny! Smutny usunął się od okna, choć radby tam stać jeszcze i długo słuchać wciąż, jak biała dzieweczka gra i jak się modli!...

Ale, o dziwy! nagle uczuł, że cudowna moc jakaś zwolniła nieco więzy, krępujące mu skrzydła, że mógł swobodniej lot rozwinąć i wzbijać się w obłoki: i wydawało mu się, że jakaś muzyka nadziemska na fali swoich dźwięków uroczych unosi go coraz wyżej i wyżej; czuł się nawet weselszym, pokrzepionym, anioł zaś, przyjmujący modlitwy za grzeszników, uśmiechnął się do niego jasnym, słodkim uśmiechem, dodającym otuchy i nadziei.

I odleciał duch samobójcy, w mgle wieczoru niewidzialny mieszkańcom ziemi, płynąc w dal nieskończoną i czekając tej trzeciej, już ostatniej modlitwy, która mu wieczny, wymarzony i upragniony, spokój ma uprosić!

Jerzy Orwicz.

Wina i pokuta.

Tłomaczyła z francuzkiego

M. P.

(Ciąg dalszy.)

Richarder leżał na łóżku w swem myśliwskiem ubraniu, zbroczonem krwią. Z małej rany w piersiach sączyły jeszcze raz po raz krople krwi; brzegi rany były czarne, jak gdyby spalone, co dowodziło, że strzał padł z blizkości. — Proch opalił westkę, w ciele zaś musiały się jeszcze znajdować małe cząstki patronu. Gordon zbadał przelotnie ranę i przekonał się, że strzelba była nabitą śrutem, a nie kulą, brzegi rany bowiem były formalnie rozszarpane. I dla niego była taka nieostrożność zagadką!

— Śmierć ta — pomyślał — sprzyja zanadto zamiarom Albernona! Jest to co najmniej podpadającem!

W pierwszej chwili pragnął wypytać o wszelkie szczegóły stangreta i strzelców, którzy towarzyszyli panu Fryderykowi, ale w końcu postanowił zaczekać na powrót jego, i jemu tylko powierzyć swe przypuszczenia. Gdy się jednak wszystkiego później od Fryderyka dowiedział, uznał sam, że podejrzenia jego żadnej nie mają podstawy. O samobójstwie także nie mogło być mowy.

Pan Fryderyk wierzył niezachwianie w nieszczęśliwy przypadek, więc też Gordon nie miał powodu nasuwania mu jakich wątpliwości. Ale chociaż milczał, myślał bezustannie o rodzinie Albernon. Może cieszono się teraz w pałacu z tego, że jedyna zapora pomiędzy Alicyą a Henrykiem znikła na zawsze! Nie podejrzywał wprawdzie Henryka o nic złego, nie mógł się jednak pozbyć jakiejś dręczącej, niejasnej, a uparcie wracającej idei...

Skoro tylko słońce ukazało się na niebie, poszedł z Fryderykiem do lasu, na miejsce wypadku, chciał się bowiem przekonać, czy nie odkryje tam czegoś więcej jeszcze. Wszelkie jego usiłowania pozostały wszakże bez skutku. Kwiczoł wisiał zawsze jeszcze pomiędzy gałązkami, a wilgotna, miękka ziemia tak była wczoraj rozdeptaną, że śladów Richardera nie można już było rozpoznać. Strzelba leżała tak, jak ją zostawiono, mech zaś zroszony był krwią nieszczęśliwego. Jedno tylko podpadło Gordonowi. Zarośla kończyły się o sto kroków dalej — Richarder nie potrzebował więc przeskakiwać przez nie! Mógł je przecież obejść wygodnie, nie tracąc wiele czasu! Ale w zapale myśliwskim zapomniał pewnie o tem! Dziwnem też było, że taki stary, doświadczony strzelec nie trzymał dubeltówki nad głową, i że strzał nie trafił go w bok, tylko w pierś! Wszystkie te spostrzeżenia zaniepokoiły go na nowo, milczał jednak wobec pana Fryderyka.

Gdy obydwaj nareszcie wrócili do domu, udał się Gordon do pokoju, w którym złożono zwłoki Richardera. Nie było tu obecnie nikogo, Alicyą bowiem wyprowadziła Julia do sypialni, zmuszając nieszczęśliwą siostrę do krótkiego chociaż spoczynku.

Amerykanin ukląkł obok łóżka i wpatrywał się długo w oblicze zmarłego. Ciężkie westchnienia dobywały się z jego piersi, a z oczu dwie gorące łzy spłynęły na bezwładnie zwieszoną, martwą rękę przyjaciela.

Nagle zadrżał i zerwał się. Twarz jego zupełnie inny przybrała wyraz. Szybkim ruchem ujął lewą dłoń Richardera i rozsunął przemocą kurczowo zaciśnięte palce.

Gdy architekt, śmiertelnie ugodzony padał na gałęzie leszczyny, wyciągnął zapewnie instynktownie rękę, chcąc się czegokolwiekbądź uchwycić i zerwał przy tej sposobności kilka listków paproci.

Gordon obejrzał z największą starannością owe drobne, delikatne listki, a widok ich zdawał się na nowo potwierdzać jego podejrzenia.

Nie mówiąc nikomu słowa, opuścił zamek i udał się znowu do lasu, do Ciernistego wąwozu. Zaledwie stanął na miejscu, gdy wydał okrzyk przerażenia.

Nigdzie nie było tu śladu paproci! Ani pod drzewami, ani wśród zarośli, jednem słowem nigdzie!

Teraz już nie wątpił o tem, że Richarder został zamordowanym i to na innem miejscu. Brak paproci był niezbitym dowodem słuszności jego podejrzenia.

Przedewszystkiem należało teraz wyszukać miejsce zbrodni. Obszedł więc zarośla, szukając pilnie najmniejszych chociaż roślinek paproci, świadków popełnionego morderstwa. Nadzieja nie zawiodła go też wcale. O dwieście mniej więcej kroków dalej, na prawo, na maleńkiej polance, porosłej ogromnemi paprociami, znalazł kałużę krwi, w około niej zaś zgnieciona trawa dowodziła, że leżał tu ciężar jakiś.

Tutaj więc został Richarder ugodzony śmiertelnie, i padając na ziemię, uchwycił ową paproć. Ale morderca chcąc swej zbrodni nadać pozór nieszczęśliwego wypadku, zaniósł ciało jego w zarośla i rzucił je tam na gałęzie leszczyny.

— Nie mogło być inaczej, — szepnął Gordon. — Wszystko to zupełnie jest wyraźnem i jasnem!

Ale niezadowolony jeszcze swem odkryciem, szukał dalej, dopóki na wilgotnym mchu, tuż około paproci, nie zwróciło coś błyszczącego jego uwagę. Schylił się więc żywo i podniósł ów przedmiot. Był to patron, a raczej mosiężne dno patronu, z wyrytą marką jakiejś angielskiej fabryki, należał zaś do strzelby kalibru 12, a zatem do tej, jakiej Richarder zwykle używał. Tutaj zastrzelił architekt kwiczoła, którego znaleziono także zawieszonego na gałązkach!

Gordon szukał gorączkowo dalej. Tam na lewo, pod drzewem ujrzał kilka piór i trochę krwi — tam więc spadł kwiczoł zastrzelony — i to nie ulegało teraz już żadnej wątpliwości!

Morderca był widocznie bardzo zręcznym, i z największą przebiegłością zabrał się do dzieła. Kwiczoła zawiesił umyślnie na gałęziach, aby nadać nieszczęśliwemu wypadkowi więcej prawdopodobieństwa. Obok piór kwiczoła widać było ślady nóg psa — Neron chciał zapewne aportować ptaka, gdy w tej samej chwili padł strzał śmiertelny.

Ponieważ Richarder był otyłym, wysokim mężczyzną, przeto wymagało przeniesienie ciała jego o dwieście kroków, sił prawdziwego atlety, jeżeli więc morderca nie miał wspólnika, to musiał być

sam niezwykle silnym. Trawa nigdzie zgniecioną nie była, nie ciągniono więc trupa, tylko niesiono go.

Na tem jednak kończyły się chwilowo domysły i odkrycia Gordona.

Zwolna wrócił teraz do wąwozu, szukając jeszcze na wilgotnej ziemi śladów nóg zbrodniarza. Były one tu zupełnie wyraźne — morderca, niosący ciało, stąpał ciężko, ale to właśnie było dla niego korzystnem, na ziemi bowiem, przesiąkłej wodą, tworzyły się zaraz małe kałuże i zalewały wszelkie wyciski butów. Można więc było poznać dokładnie, że ktoś przechodził tędy, o wymierzeniu jednak śladów nie było wcale mowy.

Gdy Amerykanin zbliżał się znowu do zamku, spojrzał mimowoli na widniejący w dali dach pałacu Beuron. Czyżby zbrodnia tam miała być ułożoną? Czy sąd wykryje mordercę? A jeżeli prokurator uwierzy, że to tylko prosty wypadek — czy jego obowiązkiem będzie zwrócić mu uwagę na to, co dziś odkrył? Nie wiedział rzeczywiście, jak mu postąpić należy. Ale gdy pomyślał o Alicyi, samej, opuszczonej, przeciw której zbrodnia ta właściwie została skierowaną, rzekł sobie w duszy:

— Będę jej strzegł i ocalę ją, chociażby kosztem własnego życia! Moje życie! Ono i tak już należy do niej, i do jej brata, jak należało do Richardera!

W zamku dowiedział się, że prokurator i sędzia śledczy z Blois przybyli już od godziny. Udał się więc do pokoju, w którym złożono zwłoki architekta i zastał tu obydwóch urzędników jako i Helenę i Henryka d'Albernon, usiłujących uspokoić i pocieszyć płaczącą Alicyę. Na widok Gordona zbladł Henryk, powitał go jednak uprzejmym ukłonem, podczas kiedy Helena zdawała go się wcale nie widzieć. Trzymała ręce Alicyi, odwracając się starannie od łóżka, na którem leżało ciało, jak gdyby nie mogła patrzeć na trupa i na krew. Gordon stanął na boku, nie spuszczając oczu z twarzy hrabiego, i znów nasunęło mu się pytanie, czy to on właśnie nie popełnił tej zbrodni? Ale nie — gdyby tak bowiem rzeczywiście być miało, to nie posiadałby tyle odwagi, aby przyjść tutaj! Na to potrzeba wytrawnego zbrodniarza, który jest przyzwyczajonym do widoku swych ofiar.

Urzędnicy, rozmawiający po cichu przy oknie, wrócili teraz do ciała, przechodząc koło Gordona, którego dotychczas wcale jeszcze nie spostrzegli.

Jeden z nich, niemłody, siwowłosy mężczyzna, o wyrazistej, sympatycznej twarzy, zwrócił się do Alicyi.

— Żałuję pani z całego serca, — rzekł łagodnie, — tem więcej, że los pani zawsze mnie żywo zajmował!

— Jakto? — szepnęła młoda dziewczyna zdumiona, podnosząc ku niemu swe piękne łzami zalane oczy.

— Pani mnie nie znasz, ale ja znam panią, chociaż kilkanaście lat upłynęło od czasu, kiedy widziałem ciebie i ojca twego. Poznaliśmy się pod bardzo smutnemi warunkami, tak, że wspomnienie to zostało mi na całe życie. To też dziś tem większej doznaję przykrości, że po raz drugi poruczono mi śledztwo sprawy równie tragicznej, jak wówczas, gdy chodziło o śmierć matki pani!

— Pan znałeś moją matkę? — zawołała Alicya.

— Nie, ale użyłem całego mego wpływu, aby bronić honoru jej imienia, zagrożonego szaleństwem i zbrodnią tego nieszczęśliwego, który...

— Więc pan jesteś prokurotorem d'Aigur? — przerwała drżącym głosem.

— Tak!

W tejże chwili odwołał go sędzia, i i wyszedł z nim do przyległego pokoju.

— Gordon słyszał całą tę rozmowę. Nikt na niego nie zwracał uwagi, ale gdy Alicya wymieniła nazwisko prokuratora, zadrżał silnie, a twarz jego przybrała wyraz przerażenia i trwogi. Upadł na krzesło i zbladł, jak ściana.

Helena pierwsza teraz zbliżyła się do niego.

— Czy pan chory? — zapytała, podając mu flakonik z solą angieską.

Gordon jednak odzyskał natychmiast przytomność i podniósł się sztywny i obojętny, jak zawsze.

— Dziękuję pani, — rzekł chłodno. — Miewam często takie zawroty głowy.

W przyległym salonie dał się słyszeć głos prokuratora, przesłuchającego pana Fryderyka. Gordon byłby się chętnie oddalił z zamku, musiałby jednak, ponieważ pokój Richardera nie miał drugich drzwi, przejść przez salon. Zwróciłoby to bez wątpienia uwagę urzędników, a tego przedewszystkiem pragnął uniknąć.

Ale w końcu zdecydował się na ów krok śmiały i wyszedł wolno do salonu. Prokurator spostrzegł go natychmiast.

— Kto to jest? — zapytał pana Fryderyka.

— Doktor Gordon, Amerykanin, który niedawno kupił zamek Rouches. Jest to bardzo zacny człowiek, uczony, i sławny swemi dziełami o chorobach nerwowych. Był serdecznym przyjacielem mego brata.

Prokurator milczał, ale gdy doktor zniknął za drzwiami, zbliżył się do okna, otworzył je i patrzał długo za odchodzącym.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zaproszenie do przedpłaty.

Jeszcze wciąż można zapisywać „PRACĘ“ na miesiące listopad i grudzień.

Kto więc dotąd „Pracy“ nie zapisał, niech wpłaci na poczcie bezzwłocznie

tylko 67 fenygów,

a dostawać będzie pismo nasze przez cały kwartał w każdą niedzielę.

„Praca“ zapisaną jest pod rubryką II t. Nr. 86.

Każda poczta i każdy listowy na wsi jest zobowiązany do przyjęcia abonamentu na miesiące listopad i grudzień.

Hekate! Karty korespondencyjne z ryciną „Hekate“ dołączamy do dzisiejszego numeru „Pracy“ z uprzejmą prośbą, aby Szanowni Czytelnicy korzystny z nich zrobili użytek w sprawie popierania i rozszerzenia „Pracy“, mianowicie prosimy karty te wysyłać do krewnych, znajomych i przyjaciół.

Wiadomości.

Szanownym nowym naszym Czytelnikom oraz Zwolennikom i Przyjaciołom „*Pracy*“, pierwszym za tak liczne zwiększenie szeregu abonentów, drugim za przyczynienie się do tego, mianowicie kochanym Braciom Galicyanom, jak niemniej kochanym Wiarusom w kraju, na Górnym Slązku i na obczyźnie, składamy staropolskie „*Bóg zapłać*“!

Wydawnictwo „Pracy“.

Prośba. Szanownych Czytelników prosimy o dokładne i wyraźnie pisane adresy z wymienieniem najbliższej stacyi pocztowej celem ułatwienia wysyłki numerów okazowych, premii, początku powieści „Wina i pokuta“ i t. d.

Szanownych Abonentów z Galicyi prosimy o łaskawe nadsyłanie prenumeraty tylko w pieniędzach, a nie w znaczkach pocztowych austryackich, których tutaj użyć nie możemy.

Abonentom z Galicyi, którzy nadesłali prenumeratę, wysyłamy „Pracę“ jak najregularniej w kopertach opłatnie; za wszelkie niedokładności odpowiada poczta.

Prośba. Szanownych Czytelników prosimy o łaskawe przysłanie nam nr. 41 i 42 „Pracy“ z rb., za co im się wywdzięczymy w inny sposób.

Numer Szopenowski wydamy z powodu trudności technicznych w przyszłym tygodniu.

Kronikę teatralną zamieścimy z powodu braku miejsca w następnym numerze.

HUMORYSTYKA.

W Łatowej Woli.

— Jakto, żoneczko? chcesz, żeby u nas na przyjęciu wina nie było? To niepodobna!...

— Ależ, mężusiu, podatki zalegają... rata landszafty nie opłacona... nie mamy pieniędzy na wino.

— To trudno, moja kochana. Jeden z uczonych (nie pamiętam tylko który) powiedział: „zastaw się, a postaw się“ — i my się tego zdania trzymać musimy.

Wytłomaczony.

— Cóż ty, szelmo żydzie, sprzedałeś mi dychawicznego konia!

— To wcale nie może być.

— Jakto nie może być?... tak jest, kiedy ci mówię!

— On ma tylko trochę kataru, ale co to panu szkodzi?

— Jakto, co ma szkodzić!... Naturalnie, że szkodzi.

— Ny, przecież pan mu nie da swojej chustki do nosa?

Z chwili.

Prusak biust mistrza Adama
Pod kluczem szczelnie nam chowa,
Nie wie, że w sercu Polaka
Wyryte mistrza są słowa.

Ten areszt dla nas tryumfem
A dla Prusaka to plama,
Cóż warta cała potęga?
Co drży przed biustem Adama.



U łoża chorego.

— Panie doktorze, co powiesz o stanie mego męża? Błagam cię, nie ukrywaj nic przedemną... mów wszystko otwarcie.

— Mogę szanowną panią zapewnić, że mąż jej będzie żył, jeżeli nie umrze.

Ale co mu jest, doktorze? co to za choroba?

— Dotąd nie mogę postawić ścisłej dyagnozy... sam jestem niepewnym... ale niech Pani dobrodziejka będzie zupełnie spokojna: wszystko się wykaże na sekcyi.



Taka choroba.

— No i jakże, przykładałeś pan spirytus do oczu, jak przepisywałem?

— Doktorze, przepisz mi inne lekarstwo! Dalibóg, ja wódki wyżej, jak do ust, podnieść nie mogę...

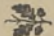


Z polityki.

Co Badeni zepsuł i co Gautsch napłatał,
Czego Thun choć łatał, jednak nie załatał,
To ma teraz Clary wyrestaurować,
Oczyścić, naprawić — słowem *wyklarować.*



Można temu wierzyć — wiara ludzi zbawia —
Wiara, mówią, nawet pono cudy sprawia,
Ale kto fantazyą nie sięga do nieba,
Ten wie, że z tej mąki, oj! nie będzie chleba...





Jedyny polski interes w Gnieźnie!

846

Lampy wiszące,	**Niklowe naczynia,**
Lampy stołowe,	*Porcelana i szkło,*
Świeczniki gazowe,	nipsy,
Ampułki,	**Rozmaite**
noże, widelce, łyżki.	*towary galanteryjne.*

Biedermann i Spł.

Gniezno, Rynek 2.

Specyalny interes sprzętów kuchennych, szkła, porcelany i lamp.

Szanownej Publiczności miasta Poznania i okolicy polecam mój nowo założony

Wiedeński

Salon fryzyerski

dla pań i panów.

Długoletnia praktyka w Berlinie pozwala mi wszelkim wymaganiom Sz. Publiczności zadosyć uczynić. 955

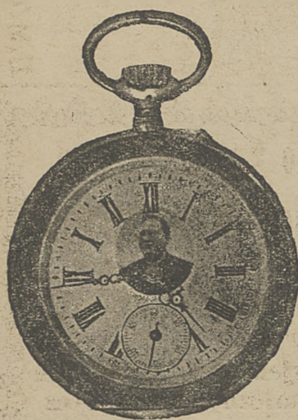
Abonament w domu i poza domem.

Z szacunkiem

LIGOCKI,

Poznań, Rycerska 38, w domu Drwęski i Langner.

Dla narzeczonych!



Kto wiele pieniędzy zaoszczędzić pragnie, kupując 808

ślubne pierścionki lub zegarek,

ten niech zażąda mego illustrowanego katalogu.

Kto zamawia ślubne złote pierścionki u mnie widzi najdokładniej, co kupuje, mając każdą szerokość, wagę, próbę oraz cenę pierścionków w katalogu dokładnie podane.

Na zegarkach u mnie kupionych umieszczam darmo każdy portret.

Bliższe szczegóły w cennikach, które darmo i franko przesyłam.

Zamówienia proszę przesłać pod adresem:

J. Strzelecki, Mogilno.

Wielki skład zegarków i biżuteryi w Inowrocławiu i Mogilnie.

Maszynista

mający doświadczenie w prowadzeniu i reparacyi Fowlera pługa parowego 2 maszynowego, potrzebny zaraz albo od 1. stycznia 1900. Zgłoszenia wraz z odpisem świadectw należy nadsyłać do 964

Zarządu majętności Samostrzel (poczta).



Hurtowny skład.

L. JEZIERSKI,

Poznań 3 przed Berlińską bramą 16,

poleca słoninę, szynki, brzuchy i karkówki solone i wędzone, sadło i smalec w rozmaitych gatunkach. 173

Wszelkie gatunki flaków iszpilek do wyrobów mięsnych, oraz papier pergaminowy i szary. Kupuję wszelką ilość świń tuczonych począwszy od 5 sztuk.

Najtańsze źródło zakupna dla sprzedających z drugiej ręki.

Cenniki wysył. na żąd. fran.

Stanisław Brzozowski

Poznań, Wielkie Garbary 45.

Skład

gotowych krat

z kutego żelaza.

Zamówienia wykonuję szybko i tanio. 923

J. K. Jasielski

adwokat ludowy

(pozasł. aktuaryusz sądowy)

w Poznaniu,

Stary Rynek 88 II ptr.

spisuje kontrakty, skargi, podania do wszelkich władz, obrony w sprawach kryminalnych, informacye w sprawach procesowych, reklamacye do podatku i wojskowości i wykonuje wszelkie prace piśmienne.

Chłopca

zdatnego do biura, poszukuje

Drwęski i Langner,

Rycerska 38.

M. SZYDLARSKI, Szamotuły

Handel towarów łokciowych

poleca po tanich lecz stałych cenach

Materye na suknie czarne i kolorowe, barchany, warpy, perkale i t. d., płótna białe, kolorowe na pościele i fartuchy.

Bieliznę męzką, damską i dziecinną.

Czapki, kapelusze, rękawiczki, parasole, krawaty, gorsety, wełnę, wielki wybór w trykotach oraz wszelkie towary krótkie. 842

Szczególnie zwracam uwagę na moją

fabrykę pończoch,

wyrabiam pończochy każdej jakości, również nadrabiam takowe.

Ph. Mayfarth & Co.,

Poznań, ulica Św. Marcina nr. 50,

przed bramą Berlińską 10,

poleca:

Massey-Harris'a

kultiwatory i **brony**

zaopatrzone w cynkowe zęby, zastępujące kultiwatory.

Patentowane stalowe pługi NORMAL. 884

Pługi kulturalne (zagłębiacze),

brony, walce.

Katalogi i prospekty bezpłatnie i franko.

Osiadłem w Poznaniu

przy ul. św. Marcina Nr. 9 (narożnik Piekar).

Dr. Kazimierz Jarnatowski,

lekarz specyalista w chorob. ócz.

Przyjmuję od 10—12 i od 3—5, niezamożnych

956 od godziny 9—10.

Browar parowy Kawiary-Gniezno

P. Górski

poleca Szanownej Publiczności swe jako najlepsze uznane wyborne

 **piwa** 

a mianowicie 82

jasne składowe i ciemne eksportowe

po cenach nader umiarkowanych.

---

100 robotników i robotnic

(także chłopaków) poszukuje się natychmiast na stałe zatrudnienie na lato i zimę. 949

Mieszkanie i całkowite utrzymanie za małem wynagrodzeniem w nowozbudowanych koszarach.

Koszta podróży zwracają się po rocznem zatrudnieniu.

Fabryka wyrobów glinianych Zahna

(Prowincya Saska).

(Thonwaarenfabrik Zahna — Prov. Sachsen.)

BRACIA PASCHKE,

Największy skład i pracownia w Ostrowie teraz ul. Wrocławska 3,
blizko Rynku i ulicy Kolejowej.



Nr. 29. Rem. ankr. na 15 kam. szczero srebrny z złot. brzeg. 28,00, stalowy (czarny) 22,00 Mr.

Rodacy! udawajcie się z całem zaufaniem, bo to u swego. Niechcąc krzyczeć jak drudzy, że aż w uszach trzeszczy, można się przekonać o rzeczywistości powiększenia naszego kolosalnego interesu. Z powodu korzystnego osobistego zakupna w Szwajcaryi w bardzo wielkich ilościach zegarków z najlepszymi werkami, bardzo tanio, bo za gotówkę, polecamy zegarki mocne i ciężkie w srebrze, regulatory, zegary salonowe, stołowe, ścienne i budziki różnego rodzaju jaknajstaranniej obciągnięte i na minutę uregulowane pod 3 i 5-letnią piśmienną gwarancyą. Nieodpowiednie odbieramy i zwracamy pieniądze. Od teraz już ceny gwiazdkowe.

Srebr. z złot. brzeg. rem. cyl. po 9,50, 10, 11, 12, 13—36 Mr., te same z Matką Bozką po bokach orzełek i pogoń, Papież Leon XIII, Jan Sobieski, z orzełkiem i Kościuszko, każdy ze stósownym napisem, rem. lub klucz. po 12, 13, 14, 15, 16, 18—32 M. Rem. ankr. kryte i niekryte tylko mocne i ciężkie po 18, 20, 21, 24, 28, 30—75 M., ta same złote 45—600 M. Niklowe po 6, 7, 8, 9, 10—30 M. Damskie złote po 16,50, 18, 21, 25—800 M., srebrne z zł. brzeg. i bez po 10,25, 11, 12, 13, 14, 15—60 M. Zeg. używane bardzo dobre po 3,50, 4, 4,50, 5—15 M. Reparacye sumiennie i tanio pod 1 roczną gwarancyą. Wysyłamy choć najdalej p. zaliczkę lub poprzed. nadesł. pieniędzy. Na życzenie do łask. wyboru. Odsprzedającym odp. rabat. Ciągle nadchodzą z wszech stron p. łz. iż nasze zeg. są nalepsze i najtańsze. Illustr. cenniki darmo i franko. Przy każdem zam. prosimy o dokładny i wyraźny adres. 940

Bracia Paschke, Największy i najrzetelniejszy skład polski.

Łańcuszki nader śliczne i mocne złote, srebr., nikl. i double. Biżuterya najn. złota, srebr. i double po nadspodz. tanich cenach.

Kapitał zakładowy Mk. 3000000 — **Kapitał zakładowy Mk. 3000000**

Bank Ziemski

w Poznaniu (ulica Bismarka nr. 8)

przyjmuje depozyta od 100 mk. począwszy i płaci:
od depozytów z kwartalnem wypowiedzeniem 3½%
„ półrocznem „ 4%

Depozyta z krótszym lub dłuższym terminem wypowiedzenia podlegają osobnej umowie o warunki. 916

Przesyłki pocztą adresować należy: **„Bank Ziemski“**, Poznań (Posen).

Zarząd.

A. Denizot,

właściciel szkółek,
Poznań 3, ul. Kolejowa nr. 45,
poleca:

Drzewa i krzewy owocowe
wysokopienne, piramidalne, szpalerowe, kordonowe i t. d.

Drzewa i krzewy ozdobne.

Drzewa alejowe i do ocienienia
do ogrodów restauracyjnych i do obsadzenia ulic i placów po miastach.

Nizkie i wysokopienne róże
w najnowszych i najpiękniejszych odmianach.

Wysadki na żywopłoty.

Cenniki na żądanie gratis i franko.

Biblioteka Teatralna

jedyna w tym rodzaju. 953

Zawiadamiam uprzejmie Szanownych amatorów jako i kierowników kółek teatralnych amatorskich, że biblioteka moja zaopatrzona jest bogato w **dzieła dramatyczne** wyborowe, **sztuki teatralne bez śpiewu i ze śpiewem**, z orkiestrą pełną i skromniejszą, począwszy od monodramów i jednoaktówek do sztuk o 4 i 5 aktach, tak z dziedziny literatury ojczystej jak i obcej. Równocześnie polecam **śpiewy kościelne, msze i świeckie** na cztery męzkie głosy, każdy głos z osobna i z partyturą. Powyższych dzieł, do których instrumentacya jest po największej części mego utworu, i drukowana w moim własnym zakładzie autograficznym, tylko u mnie nabyć można, o czem Szanowną Publiczność ostrzegam, ponieważ pojawiła się **znaczna liczba plagiatorów**, którzy moją przeszło 25-letnią pracę na swoją korzyść wyzyskiwać usiłują. Na żądanie wysyłam bezpłatnie **bardzo dogodnie urządzone katalogi**, które objaśniają co do rodzaju sztuk i ilości osób w nich występujących, ułatwiają przez to wybór sztuk dla miejszego lub większego grona amatorów.

Fr. X. Zaremba,
nauczyciel muzyki i organista
w Środzie.

Przeprowadziłem się z ulicy Podgórnej 941

na ulicę Berlińską Nr. 6.

Dr. Holtzer,

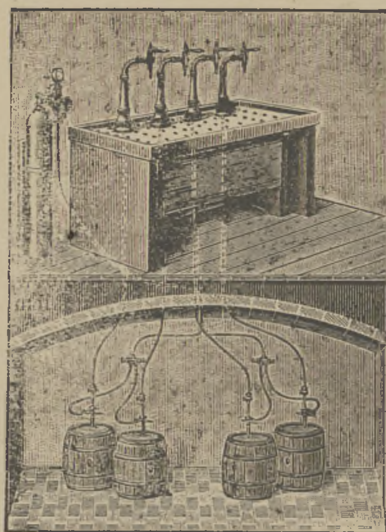
specyalista w chorob. wewnętrznych.

Mój zakład dentystyczny
istniejący w Poznaniu od r. 1890 znajduje się teraz
przy ul. Wrocławskiej Nr. 18 I. p.
Zęby sztuczne, plomby i t. d.
po cenach nader przystępnych.
954 Z szacunkiem
M. Kaniasty, technik-dentysta.

Józef Zawitaj,

Bydgoszcz, ulica Dworcowa Nr. 65.

Lejarnia bronzu i mosiądzu.



Fabryka aparatów do piwa
najnowszej konstrukcyi podług przepisu regencyjnego. Moje aparaty można czyścić szczotkami bez żadnych kosztów i mozołu. Wszelkie reparacye wykonuję dobrze i tanio. Cenniki wysyłam darmo. 892

Codzień od 11-ej do 2-ej ordynujemy
w naszej lecznicy w Ostrowie
przy ul. Wrocławskiej nr. 28
i wykonujemy wspólnie konieczne operacye. 926

Prócz tego podejmujemy się wszelkich badań medyczno-chemicznych i medyczno-mikroskopijnych.

Prześwietlanie ciała promieniami Röntgena
wykonujemy w osobnem do tego celu podług najnowszych wymagań urządzonem laboratoryum.

Dr. Ożegowski. **Dr. Fraenkel.**

W mieście na prowincyi, w dobrej okolicy, jest na sprzedaż każdego czasu, z powodu nadwątlonego zdrowia

handel strojów,
towarów krótkich, wełnianych i bielizny.

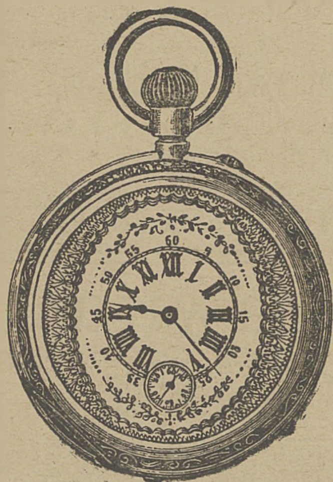
Pewne utrzymanie, warunki dogodne, dzierżawa nizka.

Zgłoszenia do Eksp. „Pracy“ pod nr. **962.**

Baczność Rodacy!

Udawajcie się do fachowych zegarmistrzy z całem zaufaniem, a nie do handlarzy, jakich tutaj w W. Ks. Poznanskiem mamy — bo rzetelną gwarancyą może dać fachowy zegarmistrz, a takim jest ***W. Cichowicz, polski fachowy zegarmistrz w Ostrowie (Ostrowo Bez. Posen).*** 188

Tylko rzetelna 5-cioletnia gwarancya, której handlarz sumiennie udzielić nie może, bo musi się na ludzi spuścić, gdyż sam nic nie rozumie.



Czysto srebrny ze złoconym brzegiem kłuczykowy od 11, 12 do 20 Mr., remontoarowy na 6 i 10 kam. po 12, 14, 16, 18 do 40 Mr.



Złoty zegareczek tylko z najlepszym werkiem na 10 kamieniach od 18, 20, 24, 26 do 300 mr. srebrne od 11, 12, 13, 15, 16, 18 do 30 marek.



Złoty od 7, 10, 14, do 32 mr., damski od 4, 5, 7, 9 do 20 marek.

Kolczyki w różnym gatunku po 4, 5, 6, 7 do 15 marek. Kreole od 8 do 60 marek.

Em. špileczka 1 m. srebrna od 1,50—3

Jedyne najrzetelniejsze źródło zakupna zegarków i biżuteryi od najdroższych do najtańszych. Kolczyki, broszki, pierścionki, bransoletki, łańcuszki srebrne, złote, double i niklowe zawsze w wielkim wyborze. Regulatory, zegary salonowe, zegary ścienne, budziki i narodowe zegarki kieszonkowe w wielkim wyborze.

Proszę się przekonać, a zaręczam za rzetelną obsługę. Cenniki wysyłam darmo i franko. Prosząc o łaskawe poparcie Szanownych Rodaków piszę się

Z wysokim szacunkiem

Waleryan Cichowicz, *zegarmistrz i złotnik w Ostrowie.*

Miejsce na ogłoszenie zarezerwowane dla firmy:

Piasecki i Synowie w Poznaniu,

Ulica Jezuicka.

Fabryka mebli. 843

Leworski i Karlewicz

Oprawa obrazów i szklarnia.

Poznan, ulica Jezuicka Nr. 1

polecają się do wykonywania

wszelkich prac pozłotniczych.

Specyalność: 929

odnawianie ołtarzy, ambon, chrzcielnic, figur, obrazów, luster itp.

Ceny nizkie! **Praca rzetelna!**

Skład obrazów, fabryka ram.

Ucznia

przyjmie **M. Dutkiewicz,** zakład zegarmistrzowski i złotniczy w Inowrocławiu. Dla uczącego się w zakładzie mom nadarza się sposobność złożenia egzaminu przed zarządem centralnego związku zegarmistrzów w Berlinie i pozyskania odpowiedniego dyplomu. 369

Zakład pracy domowej i gospodarstwa kobiecego w Śremie.

poleca się wszystkim Rodzicom katolicko-polskim. 934

Nauka praktyczna obejmuje: kucharstwo, pranie, i prasowanie bielizny białej i kolorowej, wełnianych i jedwabnych materyi, koronek, haftów, firanek, składanie, maglowanie i cerowanie bielizny, sprzątanie pokoi, nakrywanie do stołu, szycie ręką i maszyną, krój sukien i bielizny, haft i robótki, chodzenie koło krów, świń, drobiu, ogrodnictwo (cieplarnia, inspekty, warzywnictwo i kwiaty). Oprócz tego: Naukę katechizmu, udzielaną przez księdza, pisanie listów i wypracowań na temat zajęć gospodarczych, buchhalteryę, rozmowy w języku polskim i niemieckim.

Kurs nowy właśnie się zaczyna i trwa rok. — Zapłata roczna wynosi od 360 do 500 mk. podług życzenia.

Liczne pisma dziękczynne Rodziców świadczą, że Zakład jest polecenia godnym. Prospekta i wszelkie objaśnienia przesyła odwrotnie przełożona

F. Szczerbińska w Śremie (Schrimm).

M. Szymański,

zakład dentystyczny,

Poznań, ulica św. Marcina Nr. 20,

poleca się do wykonywania wszelkich prac w zakres dentystyczny wchodzących. Pracując przez dłuższy czas po za granicami, jako to w Niemczech, Rosyi, Anglii i Holandyi, a mając w ogóle kilkoletnią praktykę w tym zawodzie, nabyłem tyle doświadczenia, iż jestem w stanie wszelkim wymaganiom Szan. Publiczności zadosyć uczynić.

Wykonanie sumienne.

Ceny nizkie.

Albumy, papiery zbytkowe

i powinszowania

poleca w największym wyborze 913

P. Dzikowska,

skład papieru,

Poznań, ulica Wiktoryi nr. 16.

Ogród zamkowy

w Miłosławiu

poleca swe 957

drzewka owocowe wysokopienne

jako to:

czereśnie, jabłonie, grusze i śliwy.

Cena:

Nr. 1. Drzewa proste i silne w koronie, sztuka po 90—100 fen. — 100 sztnk 80 marek.

Nr. 2. Drzewa mniej proste i słabsze w koronie, sztuka po 60—70 fen. — 100 sztuk 65 marek.

Sprzedającym z drugiej ręki, Towarzystwom i Kółkom rolniczym robi się znaczne ustępstwa. Zgłoszenia przyjmuje

B. Chacharowski,

ogrodnik zamkowy.